ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. Nr 22 (258)

LONDYN, 1 CZERWCA 1952 R.

ZOFIA ROMANOWICZOWA (Paryż)

PIELGRZYMKA DO CHARTRES

Co roku o tej porze do kolekcji pstrych plam pokrywających mury Paryża przybywa jeszcze jedna. Wśród plakatów reklamowych, wśród politycznych afiszów, nagabujących przechodnia wykrzyknikiem: „Citoyens!", wśród programów teatralnych i kinowych nie bardzo liczyć może, że ktoś ją dostrzeże, że ktoś się przed nią zatrzyma. A jednak, kiedy schodząc uliczką Royer-Collard w stronę Parku Luksemburskiego dojrzałam znajomy napis, serce zabiło mi inaczej i wiem, że jest parę tysięcy serc, na których słowa: „Pielgrzymka do Chartres" wywierają to samo wrażenie.

Afisz co roku jest inny, ale składa się z tych samych motywów. Jakiś fragment drogi, zwężającej się w perspektywie, jakieś sylwetki, objuczone plecakami, jakiś ułamek witraża czy święty kamienny w infule i zawsze wysmukłe, siostrzane wieże katedry, jak znak umowny, jak drogowskaz.

Pomiędzy Wielkanocą a Zielonymi Świątkami w Paryżu instaluje się wiosna. Czasami śmielsza, czasami spóźniona. Czasami tradycyjne konwalie na pierwszego maja, to jeszcze zielone, niedojrzałe gruzełki, a czasami już w połowie kwietnia tłumy śpieszą do lasów Chantilly na konwaliobranie.

Dla studentów jest to okres poprzedzający bezpośrednio egzaminy. Daty są już ustalone, ostatnie wykłady łyka się ze zdwojoną pilnością, w bibliotekach tłok. Teraz lub nigdy należy przysiedzieć fałdów, zapełnić luki, wziąć się do zlekceważonych autorów. Koniki polne, co niefrasobliwie przeskakały całą zimę, teraz pompują się czarną kawą i siedzą po nocach. Ale i najskrzętniejsze mrówki czują niepokój i potrzebę odświeżenia zapasów.

W takim to momencie wypada co roku, zielono-świątkowa pielgrzymka studencka do Chartres. Pielgrzymka? Ależ to migracja! Dziewięć tysięcy poszło zeszłego roku a liczba stale wzrasta. Na całe drogocenne trzy dni i koniki polne i mrówki zamykają książki.

„...Przychodzimy do Ciebie z dalekiej Lutecji,
Na trzy dni zostawiamy nasz dom i nasz kramik
I archeologowie wraz z semantykami
I chudą Sorbonę i biedne jej dzieci..."

Tak pisał prawie czterdzieści lat temu Charles Péguy, którego imię często jest synonimem pielgrzyma do Chartres i który najwyraźniej corocznemu eksodusowi studentów paryskich patronuje. Jego "Présentation de la Beauce à Notre-Dame de Chartres" jest jednym z rzadkich poematów, co zachowały świeżość i prostotę osobistej modlitwy.

Przypominam sobie jego strofy patrząc na afisz. A więc z odnową natury jeszcze raz zbliża się dzień, w którym tysiące młodych opuści miasto i naukę, aby wyruszyć naprzeciw *„takiej ziemi stronie, która by już nie była ziemią"*.

Nie będą pierwsi, nie ostatni. W człowieku wiecznie żyje coś z pielgrzyma. Raj utracony, grób Chrystusa, święte relikwie, wiara i tęsknota zawsze wyganiały tłumy z domów na drogę. Iść, nie oglądając się, zostawić za sobą to wszystko, co na codzień więzi duszę i ciało, aż spoza którejś linii horyzontu zamajaczy przybytek, a w nim objawienie, przebaczenie, spełnienie czy łaska.

Pielgrzymka do Chartres... Same nogi niosą mnie w stronę Sorbony. Nie można przejść obojętnie koło gmachu, w który wsiąkło tyle najlepszych lat. Korytarze uczelni przeświecają, panuje w nich miły chłód. Spóźnieni studenci grzmocą butami o kamienną posadzkę. Może by popędzić za nimi, może wsunąć się bocznymi drzwiczkami na galerię, aż gdzieś pod strop amfiteatru na palcach, bo jeszcze profesor posłyszy i spiorunuje na chybił trafił krótkowzrocznymi oczami?

Ale nie. Moje wykłady już przebrzmiały. W archiwach Sorbony kopie egzaminacyjne, doręczane kiedyś z biciem serca, zaczynają żółknąć w kartonowych okładkach. Brodaty Homer siedzi zwaliście w przedsionku, jakiś inny, starożytny kolega dotrzymuje mu towarzystwa z symetryczną uprzejmością. Nie zwracają na mnie uwagi. Co znowu? Stulecia im się plączą i pokolenia, a cóż dopiero roczniki...

A przecież wiem, jakbym widziała, że w tej chwili za drwiami, spoza których dochodzi pedantyczny głos profesora, mała karteczka krąży z rąk do rąk. Już nie średniowieczne kazania braci pokutników na placach, ale afisze, ale żakowskie „podaj dalej" skrzykują pielgrzymów. Jedni z uśmiechem, drudzy obojętnie podsuwają karteczkę sąsiadowi po przeczytaniu. Inni parskają gniewnie, bo ledwo się na nią rzuciło okiem, a już w wykładzie zrobiła się dziura i nie wiadomo, jak to było ze szlachetnie urodzoną dziewicą Eulalią z romańskiej kantyleny?

Należałam do tych, co cztery lata temu obruszyli się. Biedna, obcojęzyczna, przymusowa mrówka. Ale na pielgrzymkę poszłam.

* * *

Tamtego roku w sobotę, nad dworcem Austerlitz słońce dogrzewało, jak w czerwcu. Mimo to każdy miał do plecaka przytroczony płaszcz nieprzemakalny, gdyż zielonoświątkowe ulewy zdążyły już stać się tradycją. Tylu nas? Nie wierzyłam oczom. Każdym autobusem, każdym metro, spływały z całego Paryża grupy obładowanych plecakami. Plecak był insygnium braterstwa, jak starochrześcijańska ryba i przyjaźń wiązała się łatwo już w drodze na dworzec.

Tysiące i tysiące... Wielki bulwar przy Jardin des Plantes zamienił się w koczowisko. Osobno Sorbona, osobno medycyna, osobno Beaux-Arts (ci ze zwykłą fantazją i kozimi bródkami). Z dworca Montparnasse równocześnie odjeżdżała druga partia. Pielgrzymka rozplanowana była kilkoma szlakami, które złączyć się miały w jeden nurt dopiero na ostatnim etapie.

Jeszcze w wagonie nastrój był wycieczkowy, a nie pielgrzymi. Nigdy nie miałam okazji słyszeć tylu pięknych francuskich piosenek na raz. Chłopcy grzmieli „Je suis le roi d'Espagne", dziewczęta wołały śliczną, kanadyjską „A la claire fontaine", a wszyscy razem „Malborough s'en va au guerre", ale nie na smętną melodię z „Wesela Figara", tylko wyraźnie do marszu, ze skocznym bardzo refrenem. Te refreny były zresztą bardzo dziwne, mimo skoczności bardzo szacowne, kto wie, czy nie równe wiekiem starej katedrze, ku której dążyliśmy?

Dopiero w Dourdan, gdzieśmy wysiedli i otoczyli naszego księdza, przepasanego rzemieniem, zgarbionego pod plecakiem tak, jak i my, poczuliśmy, że zaczyna się coś innego. Zostaliśmy wyjęci spod praw czasu, staliśmy się bezimienną, ludzką gromadą, co skupiła się na rozstajach, aby otrzymać błogosławieństwo na drogę. Trawa na łąkach była wysoka, po rowach bielały tarniny. Droga szła prosto przed siebie pomiędzy zagajnikami. Do Chartres było jeszcze ponad czterdzieści kilometrów. Z daleka widać było malejącą grupę tych, co ruszyli przed nami. A wcześniej, rok temu, sto i dwieście lat, ileż stóp poruszyło piach tej samej drogi! Poczuliśmy się wciągnięci w nieustający nurt tych, co kiedykolwiek wyruszyli „w imię Boże".

A już najbliżej nas, ramię w ramię z nami szedł tędy na pewno Charles Péguy. W której z tych ferm przenocowano go przed laty? Był to jego ostatni etap, szedł prędzej niż my, chociaż ciężko ugodzony przez życie i już w cieniu śmierci.

Często zdarza mi się wspominać tę pielgrzymkę jego słowami. Bo też nie było nic, czego by on także nie doznał, w milczeniu, w którym przeszliśmy pierwsze kilometry. Według tej samej co on, sędziwej melodii, odśpiewaliśmy pierwszy dziesiątek różańca. I tak samo jak jemu, z punktu narzuciła nam się gdzieś u krańca doliny Beauce niewidzialna jeszcze obecność katedry, owej *„strzały nieskazitelnej, co zawieść nie może"*.

Kraj, któryśmy mijali, miał dla mnie charakter swojski. Coś jakby płaszczyzna mazowiecka, tyle że nie piaski, a ziemia tłusta, bogata, śpichrz Francji. Nie potrafię powiedzieć, kiedy skończyły się ostatnie lasy i coraz rzadziej można było napotkać grupę drzew. Ziemia monotonna, niebo urozmaicone wiosennymi obłokami. Ludzie pracowali w polu. Z daleka wieże kościelne sterczały po naszemu; z bliska okazywało się, że wszystko jest inne, domy murowane. Ale tak samo pachniało świeżo odwróconą ziemią, nawozem i mlekiem.

Zostawiwszy za sobą lasy wychodzi się na płaszczyznę nagą, gdzie, jak pisze Péguy, *„nic nie skryje człowieka przed Bożą nagonką"*. Trudno sobie wyobrazić obecnie, że kraj ten był porosły puszczą, pełną tajemnic, że tutaj biło serce Galii, że tu przechował się najdłużej kult starych bóstw. Lasy wycięto, ziemię co roku odwraca pług i każda grudka wydała po stokroć ziarno. A jednak ta spokojna, rolnicza okolica zachowała w swej obecnej nagości coś z dawnych, mistycznych cieniów. Mimowoli wędrowiec nie spuszcza oczu z linii horyzontu, okrągłej jak bochen chleba. Ta dolina ku czemuś dąży, linie perspektywy zbiegają się wszystkie w jednym punkcie, z którego musi coś wykwitnąć, coś się podźwignąć, logiczne dopełnienie wędrówki, najpiękniejszy, *„najtwardszy kłos tej ziemi"*.

Ale wieże Katedry mieliśmy ujrzeć dopiero pod koniec dnia następnego. Sobotnie popołudnie zsunęło się szybko. Trzeba było się wciągnąć w rytm pielgrzymki: milczące rozmyślanie, modlitwa, śpiew, rozmowa. Mieliśmy także pielgrzymować myślą.

Szliśmy małymi grupkami. Tematem wspólnej myśli na sobotę była Msza św. Obok mnie Michel, Bretończyk, ten sam, który mi podsunął w amfiteatrze karteczkę z zawiadomieniem o Chartres. Marie-Madelaine, ciemna dla kontrastu przy jego białej w słońcu czuprynie i Noël, całkiem czarny i afrykański, autentyczny królewicz z Dakaru.

Zawsze mi się zdawało, że aby pracować myślą, muszę mieć stół, kartkę papieru, parę książek do pomocy, a w każdym razie samotność. Biblioteka czy pracownia były dla mnie idealnymi pomocnikami. A tymczasem tam, na drodze do Chartres poznałam słodycz rozmowy, która prowadzi do tego samego celu, do którego dążą stopy. Słodycz ta miała w sobie coś odwiecznego. Na każdym kroku podczas tych trzech niezapomnianych dni wpadałam w koleinę rzeczy wyżłobionych pokoleniami — jak kamienne schody prowadzące do sanktuariów. Szukałam klucza: gaj Akademosa czy inne antyczne przechadzki? Ale nie, raczej pola Galilei i wśród zbóż uczniowie słuchający Nauczyciela. Myśmy byli, zdawało się, sami, ale: *„Gdziekolwiek dwu z was zbierze się w Imię Moje, Jam jest"* — przypomniał nam na rozstajach nasz „aumonier".

Nie były to gawędy, były to trudne rozmowy, do których każdy dorzucał, co miał najlepszego. Pod wieczór zatrzymaliśmy się w rzadkim zagajniku, rozsiedli dużym koliskiem po harcersku, aby zebrać i porównać zdobycze. I odczuliśmy wtedy, że wewnętrznie także przebyliśmy razem kawał drogi.

Jules Romains pisze w swoim wielotomowym dziele o przyjaźni à propos obrazu Rembrandta „Pielgrzymi do Emmaus". Uczniowie są w gospodzie i są świadkami czyjejś Obecności, skrytej jeszcze przed resztą świata. Razem Jej doświadczyli i razem będą o Niej świadczyć do końca życia. Chociażby dotąd nie znali się wcale, ta chwila ich połączyła w sposób trwały. Tak się zaczyna przyjaźń. Jej definicja to wspólne świadczenie o czymś, czego się wspólnie doznało.

Słowa: „szliśmy razem do Chartres" są synonimem więzów bardzo mocnych.

Michel był Bretończykiem i u stóp Katedry z rozrzewnieniem wspominał swojego patrona i Mont Saint Michel. Zadziwił nas swoją znajomością liturgii. Ostatni odcinek drogi przebył sam: zdziwiliśmy się ogromnie, obejrzawszy się za nim, że idzie boso, po ostrym żwirze, śmiesznie podkurczając palce długich, chłopięcych stóp. Zawstydzony był, ale i zdecydowany. To na intencję powołania kapłańskiego, którego nie był pewien. Raz tylko spotkałam młodego kleryka, jeszcze wyższego w swej czarnej sutannie. Ale wiem, że pomiędzy nami jest droga do Emmaus, owa płaska równina Beauce i rozmowa, którą pomagaliśmy sobie wzajemnie postępować naprzód.

Marie Madelaine urodziła się w Kartaginie. Bardzo mi to zaimponowało ze względu na Hannibala i na Salammbô. Okazało się, że jej Kartagina leży raczej w cieniu św. Augustyna i dużo wiedziała o pierwszych, żarliwych czasach. Zdarzają mi się listy z adresem jak z Odyssei.

Noël był długo sztywny, zaambarasowany. Ale klęczeliśmy obok siebie w Katedrze. Długo potem grasował na Boul' Mich'u, w okolicach łacińskiego Duponta, z nieco smętną nonszalancją czarnego następcy tronu. Teraz znikł — może już „panuje?" W Zielone Świątki myśląc o Chartres, na pewno pomyśli o nas.

Péguy, dziecko tej ziemi, znał pewno każdą mijaną osadę, każdą dzwonnicę po imieniu. Dla mnie wioska, w której zanocowaliśmy pierwszego dnia, zachowa na zawsze urok anonimowości. Przypadł nam w udziale olbrzymi dziedziniec gospodarski, pełen zabudowań, zaśmiecony, pachnący świeżo dojonym mlekiem. W wielkiej szopie za ogrodzeniem, spało bukolicznie stado baranów. Kury gdakały, wybite ze snu niezwykłym zamętem. Podesłałyśmy sobie słomy, położyły się, jak której wypadło. Dla mnie zabrakło już dachu. Zdrożona zasnęłam nie doczekawszy pełności gwiazd. W nocy padał deszcz — przydał się płaszcz nieprzemakalny. Tradycji stało się zadość.

Inaczej niż wszystkie inne zaczyna się dzień, kiedy człowiek budzi się na garstce słomy, w nieznajomym punkcie ziemi, wśród nowych twarzy, pozbawiony domu, przyzwyczajeń, jakby nagi, jakby urodzony na nowo. Słońce podrywa się także, by mu towarzyszyć w nowym etapie. Woda czerpana ze studni ma świeżość kryniczną, skóra po niej jest gładka, jakby to była jakaś czarodziejska „Fontaine de jouvence".

Gdyśmy wyruszyli, w polach skowronki śpiewały na wyścigi. Przez noc zboża zdążyły, zdawało się, podrosnąć jeszcze na wysokość jednego zielonego kolanka. Mgła opadała, zapowiedź pogody, ale w górze niebo już się klarowało świątecznie. Na zakręcie dołączyli chłopcy, którzy się zatrzymali o staję. Michel z Noëlem zamachali ku nam z daleka rękami.

Była niedziela Zielonych Świątek. Niebawem minęliśmy jakąś wioskę wyfiokowaną, wystrojoną w trójkolorowe girlandy, z drewnianym podium na placu, przygotowanym dla orkiestry, „Comices agricoles", głosiły napisy, jakby żywcem wyjęte z Flauberta. Rozradowane dzieciaki

(Dokończenie na str. 3)

ZOFIA KOSSAK

ŚWIĘTO APOSTOŁÓW

„...Człowiek składa się z ciała i duszy. Chrześcijanin składa się z ciała, duszy i Ducha św.". (Św. Cyprian.)

Zielone Świątki dla każdego z nas, to uroczysta błogość rozlana szeroko nad najdroższą ziemią polską, to błyszczące świeżym wybieleniem chaty, tatarak rozsypany w obejściu, kwitnące bzy i czeremchy, umajone zielenią ołtarze. Czar tych wspomnień jest tak mocny, że łatwo może się zdarzyć, iż właściwy sens dnia Zesłania Ducha Świętego będzie przezeń zasłoniony.

Zielone Święta pełne są radości, nie dlatego, że Kościół obchodzi je w maju lub w czerwcu, gdy ziemia stoi w niewypowiedzianej krasie. Pozostałyby równie sobą w szarym mroku listopada lub wichurze października. Gdyż radość stanowi najgłębszą treść tego święta chrześcijan, święta Apostołów.

W wielkim Bożym cyklu Wcielenia i Odkupienia ludzie są świadkami. Tu — bohaterami dnia. W jednym mgnieniu oka, gdy dał się słyszeć szum jakoby nawałnicy, lękliwi uczniowie, ukryci w obawie przed prześladowaniem, stają się mężni, roztropni, pełni mądrości, wiedzy rozumu, pobożności i bojaźni Bożej. Uniesieni tym poczuciem szaleją, krzyczą, mówią wszystkimi językami na raz. Odwrócona wieża Babel. Tam ludzie przestali rozumieć się wzajemnie. Tu przedstawiciele piętnastu różnych narodowości słyszą dziwa Boże, głoszone w ich własnej mowie. Dzień żydowskiego Święta Żniw otwiera ewangeliczne żniwo. Plon tego dnia niemały: trzy tysiące dusz. To Bóg spełnił obietnicę daną przez Syna przed Jego odejściem.

Zielone Święta, to nie tylko tatarak i maj. Żywiołem tego dnia jest ogień. Na pustyni krzak gorejący krył Boga. Na górze Synaj w ogniu pojawił się Pan Mojżeszowi. „Przyszedłem miotać ogień na ziemię — rzekł Chrystus — a czegoż chcę, jeno, aby gorzał?" W postaci płomieni zstąpił Duch Święty na Apostołów przynosząc im swoje dary, by ogień zagorzał. Płomień z głów przeniknął w serca i rozpalił je.

Lecz dzień ten jest też zielony, gdyż zieleń, to barwa nadziei. Kiedyż świetniejszą nadzieję ujrzano spełnioną? To, co szatan obiecywał kłamliwie, kusząc ludzi w raju, Bóg z hojności Swej udzielił. „Będziecie jako bogowie". Weźmiecie czynny współudział w pracy Stworzyciela. Za darmo nie zasłużywszy się niczym... Za darmo...

Istotą daru jest bowiem że nie patrzy na zasługę. Ani wynagrodzenie, ani zapłata. Dar królewski z miłości udzielony, dar niepojętej wielkości. Duch Święty zstępując na Apostołów przemienił ich a oni z kolei przemienili świat. Do tego dnia, po prawdzie, nie byli Apostołami. Obcowali codziennie z Chrystusem Panem, patrzyli na Jego cuda i słuchali Jego słów pozostając nadal przeciętnymi ludźmi. Nie pojmowali, nie rozumieli. Miłowali, lecz nie na tyle, by przełamać strach. Dopiero teraz otworzyły się ich oczy i umysły. Piotr, który drżał przed możliwym donosem służącej, Piotr, który się zaparł Pana, odpowie arcykapłanowi: „Jakoż możemy zamilczeć, cośmy widzieli i słyszeli? Więcej trzeba słuchać Boga, niż człowieka.".

VENI SANCTE SPIRITUS

Et emitte caelitus
Lucis tuae radium.

Veni, pater pauperum;
Veni, dator munerum;
Veni, lumen cordium.

Consolator optime,
Dulcis hospes animae,
Dulce refrigerium.

In labore requies,
In aestu temperies,
In fletu solatium.

O lux beatissima,
Reple cordis intima
Tuorum fidelium.

Sine tuo numine
Nihil est in homine
Nihil est innoxium.

Lava quod est sordidum,
Riga quod est aridum,
Sana quod est saucium.

Flecte quod est rigidum,
Fove quod est frigidum,
Rege quod est devium.

Da tuis fidelibus,
In te confidentibus,
Sacrum septenarium.

Da virtutis meritum,
Da salutis exitum,
Da perenne gaudium.
Amen, Alleluja.

PRZYBĄDŹ, DUCHU ŚWIĘTY

I zlej z niebiosów
Promień twego światła.

Przyjdź, ojcze ubogich,
Przybądź, dawco darów,
Przybądź, serc światłości.

Przyjdź, pocieszycielu,
Słodki gościu duszy,
Słodkie pokrzepienie.

Tyś spoczynkiem w pracy,
Tyś ochłodą w skwarze,
Tyś pociechą w płaczu.

O światłości błoga,
Napełń wnętrze serca
Wszystkich twoich wiernych.

Bez twojego bóstwa
Nie ma nic w człowieku,
Nie ma nic bez szkody.

Obmyj to, co brudne,
Zroś to, co jest oschłe,
Ulecz, co zranione.

Ugnij, co oporne,
Ogrzej, co jest zimne,
Sprostuj to, co zdrożne.

Udziel twoim wiernym,
Tobie ufającym,
Siedmiu świętych darów.

Daj zasługę cnoty,
Daj zbawienny koniec,
Daj wieczystą radość.
Amen, Alleluja.

Dary siedmiorakie, które o. Gardeil zwie pięknie żaglami napiętymi dla chwycenia natchnienia Ducha Św., dary-anteny odbierające wiernie fale Boże, dary-struny wibrujące czystym głosem pod dotknięciem Bożej dłoni, nie zostały udzielone jednorazowo, a my nie święcimy jedynie pamiątki zaszłego faktu, jak święcą Żydzi wyjście z niewoli egipskiej. Przeciwnie. Scena z Wieczernika jest wciąż aktualna. Bóg nie cofa swych obietnic. Moc, co dokonała przeobrażenia Apostołów, pozostaje nadal do naszej dyspozycji. Nic jej nie umniejsza. Spoczywa w naszym zasięgu, leży jak skarb porzucony na ulicy. By skarb ten zdobyć, nie trzeba praktyk czarodziejskich, wychodzenia na rozstaje, rzucania wstecz kostek nietoperza. Wystarczy klęknąć pokornie i c h c i e ć. Wzywać. „Proście a będzie wam dano". Bóg czeka na minimum inicjatywy z naszej strony, na to, byśmy z a c h c i e l i. Byśmy zapragnęli być mądrzy, mężni, rozumni, bogobojni, roztropni, miast jak dotychczas tchórzliwi i małostkowi. Któż by nie zapragnął?! Taka cudowna przemiana za darmo? Za tę trochę miłości i zaufania?... Gdyby jaki sklep albo urząd ogłosił, że rozdaje darmo kostki margaryny albo parę pończoch, ogonki stałyby przed nim od świtu do nocy. Gdyby szarlatan oznajmił, że przywraca młodość, tłoczyłyby się wokół niego tłumy...

...Dary Ducha Świętego zapewniające zbawienie i możność współpracy z Bogiem, leżą jak skarb porzucony na ulicy...

— — — — — — — —

Czasy dzisiejsze wołają o Apostołów. Apostolstwo stanowi pilny obowiązek każdego katolika godnego tej nazwy. Uchylać się odeń nie wolno. Lecz nie będzie Apostołem człowiek, którego Duch Święty darami nie oświetli. Nawet wiara i nadzieja, nawet miłość nie wystarczą, jeśli zabraknie mądrości, rozumu i męstwa. Nie dość żebrać miłosierdzia, na miłosierdziu jedynie polegać. Bóg chce, by śmiało i ufnie prosić Go o siedem darów.

Zofia Kossak

KS. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

ORGANIZACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Każdy obywatel rumieniłby się ze wstydu, gdyby nie umiał jasno odpowiedzieć na pytanie o ogólnej organizacji swego państwa. Przy egzaminach uczeń, który by nie wiedział, jakie są władze wykonawcze i ustawodawcze w państwie, jaki jest zakres działania starosty i samorządu, nie mógłby otrzymać zadawalniającego stopnia na świadectwie.

Wstydem powinno być dla każdego katolika, jeżeli nie zna założeń organizacji Kościoła katolickiego, a niestety musimy przyznać, że nawet wykształceni katolicy bardzo mało lub wcale nie orientują się w tym przedmiocie.

DWIE FORMY ORGANIZACYJNE KOŚCIOŁA

Kościół katolicki otrzymał podstawy swej organizacji od Chrystusa Pana. Zrąb organizacyjny zarysował się od pierwszej chwili i tylko z biegiem wieków rozbudowywał się, krzepł i zastosowywał do potrzeb bieżących danej epoki, nie zmieniając nigdy swego podstawowego założenia.

Chrystus zbudował organizację Kościoła na potrójnej władzy Apostołów: a) władzy nauczycielskiej, b) władzy kapłańskiej, c) władzy pasterskiej czyli władzy rządzenia. Władza apostolska miała jednak nad sobą prymat — pierwszeństwo — władzy Piotra.

Następcami Apostołów z ich władzą są biskupi, a następcami Piotra — biskupi Rzymu, tj. papieże.

Od samego początku widzimy skupiska, którymi zarządzają biskupi: Kościół Jerozolimski, Kościół Efezki, Kościół Antiocheński czy Kościół Rzymski. Stała forma organizacyjna Kościoła oparła się o diecezje. Formą przejściową i przygotowawczą dla stałej, diecezjalnej jest tzw. forma misyjna.

Zajmiemy się dziś tylko organizacją diecezjalną, która jest formą jednolitą w całym świecie, gdyż przejściowa forma misyjna już może być zmieniona na formę stałą. Dzisiejsze misje jako forma przejściowa pojawiły się od XVI wieku. Początki dał im św. Franciszek Ksawery, zaczynając je w Indiach, Chinach i Japonii, sam i przez swoich naśladowców.

DIECEZJA

Nazwa ta i założenia organizacyjne wiążą się z administracją rzymską. Jednostka administracyjna rzymska, zwana diecezją, pokrywała się granicami z administracją rzymskiej państwowej diecezji, mając na swym terytorium nieraz dużą ilość stolic biskupich. Z czasem nazwa ta przyjmie się jako określenie jednostki kościelnej w granicach, w których sprawował rządy dusz biskup.

WYBORY BISKUPÓW

Od pierwszej chwili, już za czasów Apostołów przejawia się w wyborach biskupów udział wiernych. Lud brał udział w wypowiedzi, kogo uważa za godnego tej wielkiej władzy, która pochodzi od samego Boga przekazanej i udzielonej przez Chrystusa Apostołom a przez nich ich następcom. Lud zdawał sobie sprawę, że nie jest w tym wypadku władzą przekazującą swe uprawnienia komuś, kto będzie w imieniu ludu występował i przez niego upoważniony władzę sprawował. Taką rolę pełnią wybory w nowoczesnych społeczeństwach demokratycznych.

Społeczeństwo bowiem jest źródłem władzy i ono przez wybory władzę przekazuje. W Kościele tak nie jest: nie od ludu, czy od kogokolwiek innego otrzymuje biskup swą władzę, lecz od Boga i w Jego imieniu ją sprawuje.

To wyznaczanie przez lud kandydata na biskupa, według jego opinii godnego tego stanowiska, odbywało się w porozumieniu z opinią miejscowego kleru i biskupów sąsiadów danej prowincji. Z czasem biskupi byli świadkami i sędziami tych głosowań ludowych, a potem lud stał się świadkiem zebrania biskupiego na którym dokonywano wyboru kandydata na opróżnioną stolicę biskupią.

Sprawą wyboru biskupa i udziału ludu w tym akcie zajmują się sobory powszechne i wydają przepisy dyscyplinarne. Przez długie lata podstawą przy wyborze były słowa papieża Leona I Wielkiego który panował od 440 do 461 r.: „Kto ma być przełożonym nad wszystkimi, winien być przez wszystkich wybrany" („Qui praefuturus est omnibus ab omnibus eligatur").

Z powodu ówczesnych trudności komunikacyjnych władzę ostatecznego zatwierdzenia wybranego kandydata w imieniu Papieża posiadali metropolici danej prowincji.

Wcześnie jednak zaznacza się niekorzystny wpływ świeckich władców na wybory biskupów. Sobory i synody wydają odpowiednie zarządzenia z groźbą kar i wykluczenia ze społeczności wiernych świeckiego dostojnika, który by przy użyciu siły chciał narzucić swego kandydata, czy to podburzając lud, czy to przez inne intrygi. Kary i wykluczenia odnosiły się do tego, kto w ten sposób przyjmie biskupstwo i do biskupów, którzy udzielą sakry tak wybranemu kandydatowi.

Na Wschodzie zaznaczają się już wcześnie niekorzystne wpływy władz świeckich na wybory biskupów. Nieraz osobnik zupełnie nie przygotowany moralnie i umysłowo obejmuje święty urząd biskupi. Wynikały stąd ogromne szkody dla Kościoła i dla sprawy Bożej.

Na Zachodzie dopiero od założenia monarchii Merowingów we Francji wyłania się niebezpieczeństwo wpływów władzy świeckiej na wybory biskupów. Wskutek tego z czasem głównym czynnikiem w wyborze biskupa staje się kler i biskupi danej prowincji. Jednak bardzo wiele złego Kościołowi w różnych epokach wyrządzili świeccy władcy, narzucając nieraz wprost siłą swych ulubieńców i sobie oddanych sług na stolice biskupie. Ta sprawa niemało wpłynęła na nieszczęście „Reformacji".

W ostatnich już czasach wpływ świeckich był coraz bardziej ograniczony a z chwilą rozdziału Kościoła od państwa w XVIII wieku i w następnych wiekach państwo przestało się bezpośrednio interesować obsadą biskupów. W Polsce Konkordat zawarty ze Stolicą Apostolską w 1925 r. zastrzegał dla państwa zgłoszenie prawa veta w ciągu miesiąca przeciw przedstawionemu przez Stolicę Apostolską kandydatowi na biskupstwo.

Tak się przedstawia w skrócie w ciągu wieków sprawa mianowania nowego biskupa na opróżnioną stolicę.

BISKUP W DIECEZJI

Biskup dzierży władzę nad duszami wiernych jeśli trwa w łączności ze Stolicą Apostolską. Wieki jednak nałożyły pewną dyscyplinę działalności biskupa w swej diecezji. Stolica Apostolska, sobory i synody wydawały odpowiednie dekrety a dziś Kodeks Prawa Kanonicznego z roku 1918 określa prawa i obowiązki biskupów.

KANONICY

Od wczesnych chwil chrześcijaństwa przy boku biskupa powstaje kolegium księży jako rada biskupia. Rada ta nazywa się kapitułą, a członkowie kapituły nazywają się kanonikami. Ta rada jest w całym znaczeniu tego słowa radą. To nie ciało prawodawcze, czy nawet kontrolne. Większość głosów nie zmusza biskupa do wykonania tej czy innej uchwały. Głos kapituły jest dla biskupa tylko radą, bo źródło władzy w Kościele tkwi w święceniach biskupich, czyli w pełności Sakramentu kapłaństwa. Od czasu drugiego soboru nicejskiego w 787 r. nowomianowanemu tzw. nominatowi sakry biskupiej udziela 3 biskupów.

Jednym z głównych obowiązków kanoników było i jest wspólne odmawianie w chórze Oficjum św., to jest modlitw kapłańskich czyli brewiarza. Ten obowiązek nieraz uniemożliwiał pracę duszpasterską, toteż z czasem zmodyfikowano go na rzecz innych prac kapłańskich.

Kanonicy katedralni lub tzw. gremialni, wybierają po śmierci biskupa na czas interregnum — dopóki nie będzie mianowany nowy rządca diecezji — wikariusza kapitularnego.

Najczęściej kanonicy są też referentami poszczególnych działów administracji diecezjalnej.

Ubiór biskupa ustalił się od średniowiecza. Jest on zewnętrzną oznaką godności biskupiej. Szata, której biskup używa przy sprawowaniu funkcji liturgicznych jest barwy fioletowej, na piersiach ma biskup złoty krzyż, a na palcu pierścień jako symbol zaślubin między biskupem a Kościołem, na głowie mitrę a w ręku pastorał; peleryna zwana mantoletem, komża biskupia czyli rokieta. Projektował te stroje i rysował Michał Anioł toteż są bardzo piękne i nadają postaci biskupiej dużo godności.

Stare kapituły przy katedrach, czyli przy biskupich kościołach cieszą się różnymi przywilejami nadanymi im nieraz przez władze świeckie z zatwierdzeniem Stolicy Apostolskiej. Przywileje te były często kroć materialnymi nadaniami majątków. Odnosiły się też do strojów używanych przez osoby piastujące wysokie urzędy kościelne. Niektóre kapituły mają prawo używania wspaniałych płaszczy bramowanych gronostajami, łańcuchów złotych z medalami, na których uwidocznione są wizerunki świętych lub symbole wiary itd.

Świeccy panowie fundowali też w dawnych czasach kościoły przy których ustanawiano kanoników z obowiązkiem odmawiania publicznie Oficjum. Takie kościoły nazywają się kolegiatami. W Polsce znane są kolegiaty łowicka, żółkiewska, ołycka i inne. Wszystkie prawie kolegiaty przestały istnieć pod zaborami.

Biskup ma prawo nadawania honorowych kanonii w liczbie równej kanonikom rzeczywistym przy katedrze. Liczba ich waha się między 8 a 12.

Kanonik honorowy ma prawo do takich samych szat i odznak, jak te, których używają kanonicy katedralni w diecezji. Może ich jednak używać tylko w swojej diecezji albo gdy reprezentuje swego biskupa poza diecezją.

WSPÓŁPRACOWNICY BISKUPA

Biskup ordynariusz ma czasem przydzielonego do pomocy drugiego biskupa. Jest to koadiutor — pomocnik.

Dla ułatwienia pracy może biskup władzę swą przekazać księdzu, który nie musi być biskupem i ten się nazywa wikariuszem generalnym. Władza wikariusza generalnego sięga tak daleko, jak władza biskupa, o ile biskup nie określi inaczej. Jeśli wikariusz generalny nie jest biskupem, to tym samym nie może udzielać święceń, bo nie posiada pełni władzy kapłańskiej, ale bierze udział w zarządzie diecezji jako zastępca ordynariusza.

SĄD

Każdy biskup jest też prawodawcą, a więc sędzią. Ma w swej diecezji sąd biskupi. Sąd ten w dzisiejszych czasach sądzi sprawy diecezjalne i to prawie wyłącznie sprawy małżeńskie, rozpatruje też sprawy dyscyplinarne kleru diecezjalnego.

SKŁAD SĄDU BISKUPIEGO

Sąd biskupi składa się z: 1) oficjała (przewodniczącego sądu), 2) „promotora iustitiae" („rzecznika sprawiedliwości"), 3) obrońcy węzła małżeńskiego, 4) notariusza.

Każdy sąd biskupi ma swą instancję odwoławczą, najczęściej jest nią metropolia. Trzecią instancją jest Święta Rota w Rzymie.

SYNODY

Organem pomocniczym biskupa, bardzo ważnym w zarządzie diecezji jest synod. Synod diecezjalny jest to zebranie księży diecezjalnych powołanych przez biskupa dla omówienia aktualnych zagadnień, odnoszących się do zbawienia dusz i dla określenia dyscypliny kościelnej. W synodzie prawodawcą jest tylko biskup a duchowieństwo ma głos doradczy i opiniujący.

Uchwały synodu muszą być w pełni przyjęte i zatwierdzone przez biskupa. W dzisiejszych czasach uchwały te idą do Rzymu raczej dla kontroli i otrzymują tam aprobatę Stolicy Apostolskiej.

SEMINARIUM

Seminarium jest to instytucja wychowująca kler diecezjalny. Seminarium wielkie ma w swym zakresie prowadzić nauki teologiczne. Jest to zakład wyższego stopnia nauczania. Kandydaci muszą mieć świadectwo ukończenia średnich szkół, zgodnie z przepisami obowiązującymi w danym państwie. Od wykładowców wymaga się stopnia naukowego, doktoratu lub przynajmniej licencjatu aby mogli w seminariach wielkich wykładać. Nauka w seminarium trwa sześć lat. Program nauk ustalił Pius XI. Są to dwa lata filozofii i cztery lata nauk teologicznych. Jeżeli w stolicy biskupiej są uniwersytety z wydziałem teologicznym, jak to miało miejsce w większości miast uniwersyteckich u nas w Polsce, to wychowankowie seminarium zwykle uczęszczają na uniwersytet.

Władze seminarialne mianuje biskup. Trzeba podkreślić że Stolica Apostolska przez Św. Kongregację Seminariów i Uniwersytetów bardzo bacznie śledzi życie poszczególnych seminariów diecezjalnych na całym świecie.

PARAFIA — PROBOSZCZ

Bardzo pobieżnie i schematycznie przyjrzeliśmy się organizacji diecezjalnej u góry. Podstawowa jednak komórka życia całego Kościoła jest parafia. Można ją przyrównać do rodziny, będącej fundamentem podstaw społeczeństwa.

Mniej więcej do IV wieku całe życie religijne opierało się o biskupa i o kościół w miejscu stałego zamieszkania biskupa. W siedzibie biskupa przy kanoniach gromadziło się duchowieństwo, wspierające biskupa w jego pracy. On zaś wysyłał czasem w odleglejsze części swego terytorium księży z misją czasową. Po spełnieniu tej misji wracali księża zdawać z niej sprawę biskupowi. To przypomina metody pracy w dzisiejszych misjach.

Już w IV wieku widzimy kościoły poza katedrą na terenie diecezji przy nich kapłanów, wysyłanych przez biskupa i działających w jego imieniu.

Sobór trydencki w XVI wieku zleca biskupom troskę tworzenia parafii w swych diecezjach.

Rolę proboszcza, jego zadania i istotne cechy jako wysłannika biskupa określa definicja: „Proboszcz to ksiądz wydelegowany przez swego biskupa, aby na mocy swego urzędu udzielał pomocy duchownej określonej liczbie wiernych, a oni ze swej strony są zobowiązani szukać tej pomocy u niego". (Dic. Teol. tom. 3. col. 2435).

Z biegiem wieków przepisy kościelne określają dokładnie prawa i obowiązki proboszczów i sposoby tworzenia nowych probostw. Prawo przewiduje proboszczów stałych i ruchomych. Ci pierwsi po zamianowaniu i po objęciu probostwa nie mogą już być przez biskupa przeniesieni bez swej zgody, chyba na podstawie procesu dyscyplinarnego lub tzw. „niechęci powszechnej" (odium populi).

DEKANAT I DZIEKANI

Grupa parafij razem tworzy terytorium zwane dekanatem. Biskup mianuje zazwyczaj jednego z proboszczów danego dekanatu jakby swoim inspektorem tzw. dziekanem. Dziekan jest to urząd biskupi.

Prawo kanoniczne i stary zwyczaj wzywa księży dekanalnych na zwykłe zebrania, gdzie omawiają bieżące sprawy duszpasterskie i pogłębiają swą wiedzę teologiczną odczytami i dyskusjami.

PROWINCJA KOŚCIELNA CZYLI METROPOLIA

Tak się przedstawia w krótkim zarysie organizacja diecezji. Grupa diecezji tworzy prowincję. Na czele prowincji stoi metropolita. Dawniej metropolita miał duże uprawnienia wobec swych sufraganów, czyli ordynariuszy stolic biskupich, wchodzących w skład metropolii.

Metropolici zatwierdzali kandydatów na biskupów wybranych przez lud, kler i sąsiadów biskupów. Dziś ta ingerencja metropolitów jest bardzo ograniczona. Prawo kanoniczne przyznaje im tylko ingerencję przy wyborze wikariusza kapitularnego w razie śmierci ordynariusza. O ile kanonicy w ciągu siedmiu dni nie godzą się na wybór, wtedy metropolita wyznacza wikariusza kapitularnego. Wikariusz kapitularny rządzi diecezją do czasu objęcia stolicy biskupiej przez nowomianowanego przez Stolicę świętą biskupa.

METROPOLIE W POLSCE

W Polsce mieliśmy po 1925 r. pięć metropolii: Gniezno, Lwów, Warszawa, Kraków i Wilno, według kolejności precedencji.

PRYMAS

Pochodzi od łacińskiego słowa primus. Nie powstała w organizacji Kościoła jakaś nadrzędna władza prymasowska, lecz raczej warunki lokalne w niektórych krajach wysunęły prymasa na czoło życia Kościoła w danym kraju. Może najjaskrawiej występuje to wysunięcie prymasa w życiu Polski.

Dwie takie instytucje w naszym życiu narodowym odgrywały tak doniosłą rolę: prymas i hetman.

Rozwój życia organizacji kościelnej, pochodzącej ze Wschodu rozwinął przemożne stanowisko patriarchów i metropolitów. Ci pierwsi nie znaleźli na Zachodzie takiego terenu dla swego znaczenia, jak na Wschodzie, ale rola metropolitów była bardzo wybitna, a władza ich wielka, choć dzisiaj już mniejsza, niż dawniej. Zewnętrznym znakiem władzy metropolitalnej jest paliusz. Jest to taśma z białej wełny z czarnymi krzyżami, wkładana na ramiona i spadająca na piersi i plecy. Jagnięta, z których ta wełna pochodzi, poświęcane są przez papieża w dniu św. Agnieszki.

Gniezno, jedyna w Polsce przez cztery wieki metropolia, stworzyło swego rodzaju stanowisko, które odegrało ogromne znaczenie w dziejach państwa.

W r. 1371 w Haliczu powstaje druga metropolia łacińska na ziemiach ruskich odrywając się od metropolii lubuskiej i od wpływów niemieckich, które aż tu sięgały. Ta metropolia zostaje niebawem przeniesiona do Lwowa za metropolity błogosławionego Jakuba Strepy, franciszkanina. Wtedy to powstała tendencja podkreślania przez arcybiskupa gnieźnieńskiego że jest pierwszym — primus. Arcybiskup Jan Łaski wyrobił sobie w Rzymie dla każdorazowego arcybiskupa Gniezna tytuł „legatus natus" i opierając się na tym przyznał sobie prawa jurysdykcyjne nad arcybiskupem lwowskim, który się przed tym bronił.

Stanowisko świeckie arcybiskupa gnieźnieńskiego, jako pierwsze krzesło w senacie i urząd interrexa, sięgające już czasów Kazimierza Wielkiego, utrwala się i wzmacnia po śmierci Zygmunta Augusta. Jest to wynik wygranej przeciw usiłowaniom dyssydenta Firleja, który chciał odsunąć wpływy Kościoła na bieg życia państwowego i zniszczyć starą tradycję.

Za czasów Stanisława Augusta znaczenie prymasa w Polsce upada.

Tytułu prymasa bez żadnego znaczenia rzeczywistego zaczął używać metropolita unicki w Kijowie — jako prymas Rusi, a także krótko był w użyciu tytuł prymasa Litwy przez biskupa wileńskiego. Nawet biskup Warmii, niezależny od gnieźnieńskiej metropolii, używał przez jakiś czas tego tytułu, jako prymas województw pruskich. Biskup Warszawy używał tego tytułu dla Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

Pozycja prymasowska w Polsce, związana długowiekową tradycją, mimo że w pełni nie odżyła prawnie w odrodzonej Polsce po r. 1918, jednakże była przez naród odczuwana, a po drugiej wojnie arcybiskup Gniezna stał się rzeczywistym interrexem tysiącletniej tradycji katolickiej Polski.

EPISKOPATY

Episkopat w każdym kraju odgrywa dużą rolę, wynikającą z nowoczesnych stosunków i wymogów. Episkopat jest to zebranie biskupów ujednostajniające na konferencjach potrzeby życia religijnego, tak bardzo skomplikowanego nowoczesnymi zagadnieniami.

KOLEGIUM KARDYNALSKIE

Omówiliśmy pokrótce organizację diecezjalną Kościoła. Na czele życia całego świata katolickiego stoi Stolica Apostolska. Przez wieki administracja kościelna nie tyle się zmieniała, co rozwijała.

Na wzór rad kapitulnych przy biskupach, stoi taka rada przy papieżu. Jest to kolegium kardynalskie. Kolegium kardynalskie składa się z 72 członków. W XII wieku miało ono tylko 50 członków. Głównym obowiązkiem kardynałów jest tworzyć radę papieską na tzw. konsystorzach, a z czasem wyłącznie w ich ręce przeszedł wybór papieża.

Odsuwano coraz bardziej wpływy panujących na wybór papieża. W różnych okresach były one nieszczęściem dla Kościoła i papiestwa. Po śmierci papieża Piusa VI w więzieniu Napoleona, starano się jak najprędzej wybrać papieża, by nie poddać się wpływom ówczesnego dyktatora świata.

Pius X nadając nowe przepisy dla conclave odsunął wszelkie możliwe wpływy świeckie na wybór papieża, choć sam został wybrany dzięki wygrzebanemu z archiwów przewilejowi cesarza austriackiego.

Administracja kościelna wymagała rozwoju aparatu administracyjnego. Ten aparat tworzą tzw. kongregacje kurii rzymskiej. Są to odpowiedniki ministerstw w państwach świeckich.

KURIA RZYMSKA

Na czele kongregacji stoi zwykle kardynał-prefekt i przydzieleni do prac duchowni. Każda kongregacja ma swój zakres prac i kompetencji.

Kongregacja św. Oficjum ma opiekę nad czystością nauki wiary i obyczajów. Ona zatem zabiera głos w sprawach błędów i wszelkich odszczepieństw. Ona sporządza katalog zakazanych książek tzw. indeks, by przestrzegać i chronić wiernych od wpływów błędów rozpowszechnianych drukiem i innymi sposobami technicznymi.

Prócz kongregacji administracyjnych, których jest 12, istnieją trzy trybunały sądowe, wśród nich Święta Rota. Jest to trzecia najwyższa instancja sądów biskupich i apelacyjnych.

Jest też sześć urzędów, wśród nich sekretariat stanu i trzy komisje: biblijna, wykładni Kodeksu Kanonicznego oraz Wulgaty, najstarszego urzędowego tekstu łacińskiego Pisma św.

STROJE OFICJALNE

Papież nosi białą sutannę, a w czasie uroczystych, nieliturgicznych wystąpień używa tiary z trzema koronami jako symbolu potrójnej władzy swego urzędu nauczycielskiego, kapłańskiego i pasterskiego (rządów). W czasie liturgicznych nabożeństw używa mitry jako oznaki władzy biskupiej.

Biskup nosi szaty fioletowe. Podobnie jak papieski pierścień zwany „rybackim" lub „pierścieniem św. Piotra" oznacza związanie z Kościołem, tak i biskup nosi pierścień symbolizujący ten sam związek. Nosi on też na piersiach złoty krzyż z relikwiami, a w czasie nabożeństw trzyma w ręku pastorał, jako symbol pasterskiego urzędu.

Inni duchowni używają czarnej sutanny.

PRZYWILEJE HONOROWE PAPIESKIE

Tak jak biskup nadaje w swej diecezji honorowe odznaki kanonickie, tak i papież udziela honorowych odznak kapłanom na całym świecie. Takimi honorowymi odznakami są tytuły. Najczęściej rozdawane są trzy stopnie prałatury. Szambelański mogą piastować nie tylko księża. Tytuł ten trwa tak długo, jak długo żyje papież, który ten tytuł nadał. Po śmierci papieża tytuł szambelana może być ewentualnie odnowiony przez następnego papieża.

Prałat domowy jest tytułem dożywotnim. Trzecim jest tytuł infułata.

Dwa pierwsze tytuły uprawniają do używania fioletowych odznak przy czarnej sutannie, a w czasie nabożeństw pełnego stroju biskupiego fioletowego z tzw. rokietą i mantoletem, to jest peleryną wkładaną na specjalną komżę.

Infułat ma te same prawa, co szambelan i prałat, poza tym prawo odprawiania pontyfikalnej Mszy św. z używaniem infuły. Dziś często te tytuły są związane z pewnymi funkcjami. Gdy dany ksiądz dostanie odpowiednią misję, ma prawo do oznak biskupich na czas trwania funkcji lub dożywotnio. Pozostało to jako honorowe odznaczenie udzielane przez papieża. Jak widzimy, nie są to żadne urzędy ani stopnie w hierarchii kościelnej.

ZAKOŃCZENIE

Organizacja Kościoła nigdy nie była przerywana ani zmieniana, uzupełniano ją tylko i przystosowywano do warunków epoki. Toteż żadna świecka administracja nie może pochwalić się taką doskonałością. Dla wielu nowoczesnych państw administracja Kościoła była wzorem.

Ks. Włodzimierz Cieński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Nowa błogosławiona. W niedzielę 18 maja odbyła się druga w roku bieżącym beatyfikacja. Nowa błogosławiona Rafała Maria od Serca Bożego, Hiszpanka, założyła zgromadzenie służebnic Najświętszego Serca Jezusowego.

Znamienne jest, że w dzisiejszych czasach pychy rozumu z powodu wielkich zdobyczy naukowych Kościół stawia nam przed oczy tak często przykłady pokory, wynosząc na ołtarze np. św. Teresę od Dzieciątka Jezus, św. Konrada Parzham, błog. Rafałę Marię. „Jedynie bowiem pokora łagodzi gniew Boży, znajduje łaskę Bożą" — te słowa św. Bonawentury przypomina Kościół w dekrecie Tuto z 2 marca, stwierdzającym, że bezpiecznie można przystąpić do beatyfikacji sługi Bożej, Rafały Marii. Błog. Rafała Maria zmarła przed 27 laty; jest więc jedną z wielu współczesnych nam osób, które doznały czci ołtarzy.

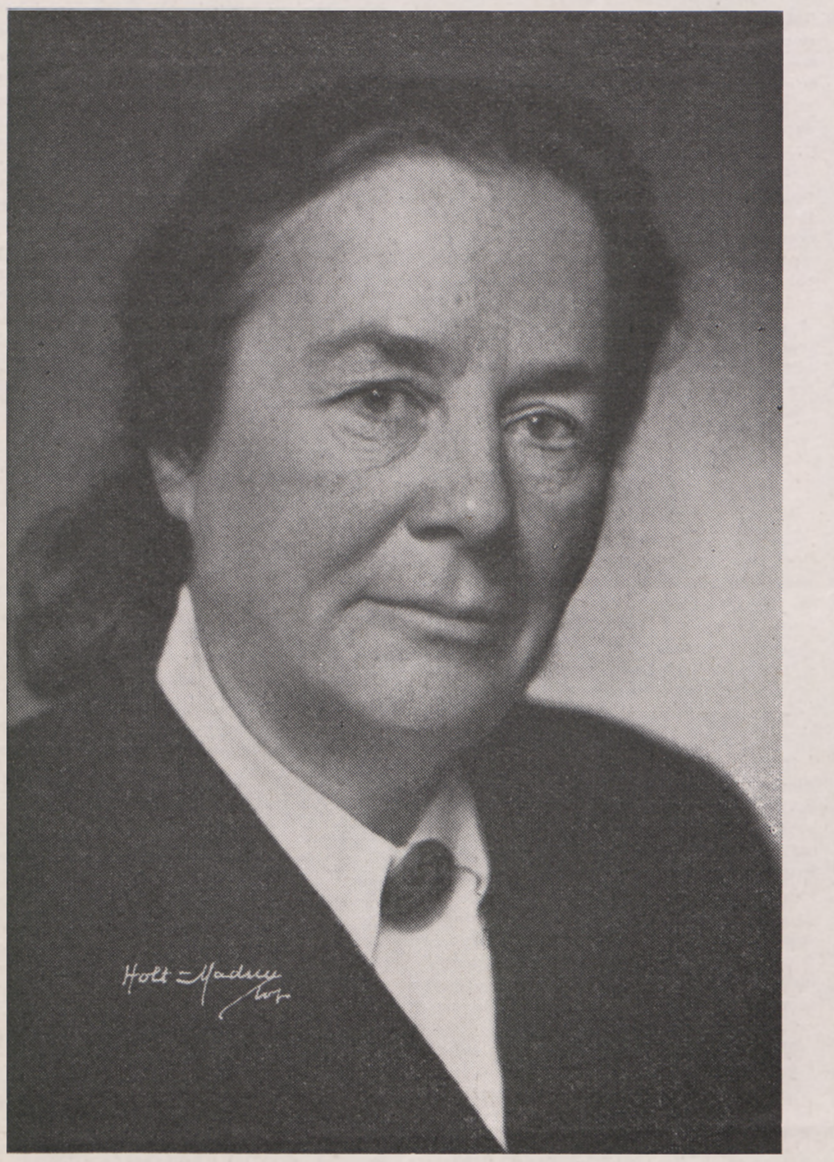
35 rocznica Fatimy. Około 400 tysięcy wiernych różnych narodowości wzięło udział w pielgrzymce do Fatimy z okazji 35 lecia ukazania się Matki Boskiej (w dniu 13 maja 1917 roku).

Ks. Lombardi o wyborach. Znany kaznodzieja włoski, ks. Lombardi wygłasza stale w radio Miasta Watykańskiego przemówienia w związku z napomnieniem Papieża z dnia 10 lutego do rzymian. Jedno ze swych przemówień ks. Lombardi poświęcił sprawie wyborów, a to ze względu na municypalne wybory w Rzymie. Główne myśli przemówienia można ująć w kilku punktach. 1) Kapłan ma prawo i obowiązek zajmować się sprawami politycznymi z punktu widzenia moralnego. 2) Aczkolwiek wybory nadchodzące są tylko wyborami miejskimi, to jednak są wyborami bardzo ważnymi, ponieważ dotyczą stolicy państwa i są jakby wskaźnikiem dla wyborców do parlamentu we Włoszech w 1953 r. 3) Komunizm reprezentuje w historii ludzkości sen o większej równości między ludźmi; ze względu jednak na wiele błędów i monstrualności systemu komunistycznego sen komunizmu o sprawiedliwości zostaje ostatecznie unicestwiony. 4) Ażeby uniknąć rządów komunistycznych w Rzymie, każdy uprawniony do głosowania jest obowiązany pod grzechem ciężkim wziąć udział w wyborach. 5) Obecne warunki życia politycznego we Włoszech wymagają zjednoczenia się bez względu na ofiary z tym połączone.

Księża uchodźcy. Katolicki Komitet Osiedleńczy, którego dyrektorem jest ks. Alojzy Wycisło, sprowadził od 1 października 1948 r. do obecnej chwili 415 księży uchodźców z krajów europejskich i rozmieścił ich w 75 amerykańskich diecezjach. Ponadto około 100 innych księży-uchodźców przybyło do Ameryki na własną rękę. Do Kanady i innych krajów amerykańskich emigrowało dodatkowo 97 księży. Do Stanów Zjednoczonych ma przybyć jeszcze w najbliższym czasie 116 księży uchodźczych, którzy zostali już przyjęci do różnych diecezji. Dotychczas w krajach amerykańskich 722 księży otrzymało możność pracy duszpasterskiej. Komisja duchowna przy Komitecie Emigracyjnym stwierdza, że oprócz tego 600 innych księży złożyło aplikacje na wyjazd do Ameryki. Księża ci z powodu prześladowania religijnego znaleźli się w zachodniej Europie i pragną emigrować.

Ku beatyfikacji Piotra Semeneńki. W wikariacie Rzymu otwarto proces w sprawie pism ks. Piotra Semeneńki, generała zgromadzenia zmartwychwstańców, zmarłego 18 listopada 1886 roku.

ROZMOWA O „PRZYMIERZU"



Powieść biblijna Zofii Kossak Szatkowskiej p.t. „Przymierze" jest niewątpliwie najwybitniejszą polską pozycją beletrystyczną w ciągu kilku ostatnich lat. Jest ona równocześnie doniosłym wydarzeniem literackim w orbicie cywilizacji chrześcijańskiej.

ŻYCIE szczyci się stałą współpracą Zofii Kossak, a wydawcą „Przymierza" w języku polskim jest Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". Dlatego też przedstawiciel redakcji zadał Autorce kilka pytań, związanych z genezą, treścią i przyjęciem przez czytelników znakomitej powieści.

Jaki jest — brzmiało pierwsze pytanie — stosunek „Przymierza" do Starego Testamentu?

Najpokorniejszy, możliwie najwierniejszy, nie wykraczający nigdzie w dowolności interpretacji poza ramy nakreślone przez katolicką egzegezę.

Spotykał Pan może inne zdania, sądzę, iż wynikały one z niedostatecznej znajomości ostatnich badań biblijnych nad Starym Testamentem. Jak Panu wiadomo, stosunek ogółu katolików polskich do Ksiąg Starego Przymierza dopiero od niedawna wchodzi na normalne tory. Poprzednio panowały dwa kierunki: niechęci do St. Test. (wpływ antysemityzmu), powoływania się na rzekomy (nie istniejący) zakaz Stolicy Apostolskiej czytania St. Test. przez świeckich, uważania St. Test. za przykry dodatek do Nowego Test. w gruncie rzeczy niepotrzebny.

Drugi kierunek postępował odwrotnie, stosując ścisły sekciarski niemal fideizm, biorąc każde słowo St. Testamentu jako podyktowane bezpośrednio przez Boga, nie mogące ulec zmianie. Do takiego stanu rzeczy przyczyniał się niewątpliwie niski niegdyś stan studiów biblijnych, niemożność prowadzenia badań archeologicznych na miejscu w Ziemi Św.

Ostatnie trzydzieści lat wprowadziło prawdziwą rewolucję w obu tych dziedzinach. Wstrząsające odkrycia, stwierdzające historyczność szeregu zdarzeń, opisanych w Piśmie św., zmusiły nawet niewierzących do spojrzenia na święte teksty innymi oczami. Niezależnie od wypraw naukowych (których praca bynajmniej nie jest ukończona) studia biblijne, w których przoduje Francja, posunęły się znakomicie naprzód, dając właściwe rozumienie Pisma św., odróżniając święty owoc natchnienia Bożego od prawdopodobnych omyłek kopistów, fakta historyczne od wtrąconych w tekst opowieści dawniejszych, podanych dla przykładu lub zobrazowania i.t.p. Nie będę rozwodzić się nad tym szerzej, gdyż to samo zagadnienie naszego stosunku do St. Testamentu stanowi temat artykułu, jaki przygotowuję dla ŻYCIA.

— Jakie studia i dzieła naukowe były potrzebne do napisania „Przymierza"?

Najwłaściwiej byłoby zamiast odpowiedzi przytoczyć bibliografię przestudiowanych prac, łącznie z korespondencją wymienioną z drem A. Parrot, dyrektorem departamentu Odkryć Biblijnych w Luwrze. Zajęłoby to jednak bardzo wiele czasu i miejsca i ostatecznie wyglądałoby na pewnego rodzaju snobizm.

Ograniczę się do stwierdzenia, że przed napisaniem k a ż d e j książki historycznej trzeba uczyć się jak do matury, cóż dopiero gdy chodzi o epokę tak odległą i poza fachowcami stosunkowo tak mało znaną, jak czasy Abrahama! To nie są dziesiątki tomów, lecz setki. To jest długa i żmudna praca, kosztowna i męcząca; niestety — konieczna. Fantazja, wyobraźnia, mogą się wyżywać jedynie wewnątrz bohaterów. Wszystko, co otacza tych ostatnich, musi być historycznym konkretem.

Praca przygotowawcza jest nie tylko długa i męcząca. Jest ona także w pewnym sensie niewdzięczna, z konieczności bowiem człowiek „naumie się" dziesięć razy tyle, niż mu do książki potrzeba. Cały ten naddatek jest zmarnowanym niepożytecznym balastem, o którym trzeba zapomnieć. A biada pisarzowi, jeżeli chce pochwalić się erudycją; żal mu wyrzucać za burtę tylu ciekawych rzeczy i stara się je w książce poumieszczać. Zdarzało mi się to dawniej. Nie ma nic gorszego. Wychodzi z tego nie powieść, lecz antykwariat, zakalec, nadmiar szczegółów, w których zatraca się całość. Realia historyczne muszą być, lecz trzeba operować nimi nadzwyczaj oszczędnie.

Dodatkową korzyścią z uczciwego „obkucia" danej epoki jest szczera satysfakcja, jaką się odczuwa, gdy jakiś fachowy poważny miesięcznik, piórem speca, pochwali książkę, że sumiennie opracowana. Takie świadectwo pozwala traktować pobłażliwie zdarzające się opinie laików, że książka jest „niehistoryczna" lub że są w niej „nieścisłości".

— Jak zrodził się pomysł powieści o „Przymierzu"?

Jest logicznym wynikiem całej mojej linii pisarskiej. Kierowało nią przekonanie, że wbrew zdaniu ekonomistów (nie mówiąc o marksistach), rozwój ludzkości zależy od jej światopoglądu więcej, niż od jakichkolwiek innych czynników. Światopogląd oznacza wiarę: w co człowiek wierzy i jak wierzy. Objekt wiary i jakość wiary decydują o obliczu i kierunku wytworzonej przez dane grupy ludzkie cywilizacji. Proszę wybaczyć barbarzyńskie uproszczenia ostatnich zdań. Nie będę tu przecież rozwijać całego traktatu. Mam nadzieję, że i tak zrozumie Pan, o co mi chodzi.

Częściowo dlatego ulubiłam sobie historię, gdyż perspektywiczne spojrzenie na odległe wypadki zaciera niepotrzebne szczegóły i pozwala śledzić owo Boże „pisanie prosto na liniach krzywych", dając zarazem obraz tego, co najważniejsze: wzajemnego stosunku człowieka do Boga. Świadomość znaczenia i wpływu religii nakłaniała do cofania się głębiej i głębiej, by wyśledzić działanie tej Bożej dźwigni — powstawanie kopuły, pod którą żyjemy. Sięgnięcie do widzialnych początków Kościoła nie wystarczało. Bez Starego Testamentu Ewangelia zawisłaby w próżni.

Nowy Testament realizuje wcześniejsze obietnice Boże. Wiele wieków, zanim wypełniły się czasy i zabłysło misterium betlejemskie, ludzie błagali niebiosa, aby spuściły z dżdżem Sprawiedliwego. Więc ciągle wstecz, aż do pierwszego Przymierza, zawartego przez Boga z człowiekiem, czyli do Abrahama. To jasne?

Chciałam uwypuklić w „Przymierzu" jeszcze inną sprawę — sprawę wiedzy i przechowywanej przez mędrców pamięci pierwotnego Objawienia. Nergal Sar jest wprawdzie postacią fikcyjną, lecz Melchizedech jak najbardziej prawdziwą. Ten motyw zresztą będzie wyraźniej zaznaczony w następnej książce, w postaci pogańskiego wieszczka Balaama.

— Jak długo trwało pisanie „Przymierza"?

Nie da się powiedzieć. Pisanie „Przymierza" trwało znacznie dłużej, niż powinno, z powodu szeregu przeszkód t.zw. technicznych, które powodowały kilkakrotne przerwy w pracy. Nawet przy pomyślnych okolicznościach jednak pisanie tego rodzaju książki trwa z konieczności parę lub kilka lat. Nie mam niestety łatwości pisania i każdą stronę przerabiam po wiele razy.

— Jak przyjęli „Przymierze" czytelnicy obcy, nie Polacy? Jaka była ocena krytyków?

Przeszła moje oczekiwania. Czytelnicy angielscy i amerykańscy przyjęli książkę znacznie życzliwiej, niż czytelnicy polscy. Być może powodem tego jest większe oswojenie ze Starym Testamentem w społeczeństwach protestanckich. To nie znaczy, że chwalili ją i czytali tylko protestanci! Bynajmniej. Ale katolicy anglosascy ulegając wpływom otoczenia znają St. Testament nierównie lepiej, niż my.

Recenzji było dużo, sama czytałam ponad 50. Wszystkie były dobre, niektóre entuzjastyczne. Jedną tylko cierpka, zamieszczona przez „Daily Worker". Pochlebne zaliczenia „Przymierza" do czołowych książek 1951 r. podane przez „New York Times", były cytowane w ŻYCIU, więc ich nie powtarzam.

Obecnie „Przymierze" jest tłumaczone na duński, ukaże się w tym języku na jesieni b.r. Sądzę, że tłumaczeń będzie więcej.

— A jaka jest własna Pani opinia o „Przymierzu"?

To pytanie uchylam. Autor nic nie myśli o książce już wydanej, przed dwoma laty (z górą) skończonej. Myśli o nowej książce.

— Jakie są dalsze Pani zamierzenia autorskie?

Jest ich więcej, niż pozostaje mi lat do ich zrealizowania. To krępuje przy wyliczaniu. A pomijając mój wiek, warunki życia na emigracji bardzo utrudniają pisanie. Mówmy więc na razie tylko o książce już zaczętej, stanowiącej ideowo dalszy ciąg „Przymierza". Bohaterami jej będą Jozue, prorok Balaam, wspomniany powyżej, jego oślica i mury Jerycha. Wielka postać Mojżesza już nieżyjącego wypełniać będzie całą atmosferę książki. Mam nadzieję, że ukończę ją w tym roku.

PIELGRZYMKA DO CHARTRES

(Dokończenie ze str. 1)

witały nas jako nadprogramową sensację. Zaraz za wioską zakręt i pomiędzy zielenią mury zamku w ruinie, a przed nim, na olbrzymiej polanie mrowisko. To my. Jest nas mrowie.

Po raz drugi od rozpoczęcia pielgrzymki poczułam się ziarnkiem piasku, kroplą w morzu. Ale nie miało to nic wspólnego z upokorzeniem, które nas wtłaczało w szeregi obozu koncentracyjnego, wyległego na apel. W tamtym tłumie byłam podeptana, zmiażdżona w ludzkiej, pogardzonej masie. Teraz w małości, w mnogości, w nicości własnej miałam zapowiedź tym większego miłosierdzia.

Dumne jeszcze plecy średniowiecznego zamczyska posłużyły za wspólną absydę dla setki polowych ołtarzy. Zamiast nawy kościelnej mieliśmy nad sobą niebo. W czasie Podniesienia sto białych Hostii podniosło się w górę jednocześnie.

Niedziela Zielonych Świątek pocięta była na drobne etapy. Po Mszy św., posileni Bożym Chlebem, rozłożyliśmy zwykłe, ludzkie zapasy. Ulżyło plecakom. Następny odcinek drogi, w samym słońcu południa, był najuciążliwszy. Jeden Noël czuł się w swoim żywiole. Po południu zatrzymaliśmy się na dłużej w jakimś rozległym, pałacowym parku. Nieszpory, dłuższa wspólna gawęda zajęły trochę czasu. Pod sam więc prawie wieczór dopiero ujrzeliśmy Ją.

„Lecz oto nagle jesteś,
majestatyczna Pani,
Jakżeśmy mogli dopuścić do
takiego zawodu,
Iść w Twoją stronę i nie widzieć
Ciebie?" —

— wykrzyknął Péguy w tym samym momencie. Wypatrujemy oczy zmieszani, ktoś inny dał znać od przodu: Katedra! Katedra!

Jeszcze moment przedtem musiało nam się wydawać, że to źdźbło, ledwo przerastające inne trawy, że to młody kiełek sterczący ku górze. Teraz nie ma już wątpliwości. Katedra jest przed nami. Maleńka, ledwo widoczna, byle ziele ją przerasta, a już skupia w sobie cały sens tej rozległej równiny. I już jest punktem centralnym, osią, już jest sygnałem, który wzywa, który przyciąga oczy i duszę.

Trzeba było podejść jeszcze parę kilometrów, aby rozróżnić dwie wieże. Z tej odległości zlewały się w jedno. Najpierw wydawało się, że wyrastają wprost z ziemi, symbol dążenia wzwyż, sam ekstrakt gotyku. Dopiero później trzon katedry zarysował się również — miasta wciąż nie było widać. Na samej linii widnokręgu, tam gdzie niebo styka się z ziemią, sterczała samotnie jak skała na morzu, rosnąc z każdym naszym krokiem.

Tym razem nocleg wypadł nam w przedsionkach Królowej, o cztery kilometry zaledwie od Chartres. Do konstelacji przybyła jeszcze jedna gwiazda: czerwone światło z jednej z wież. A ze świtem droga wijąca się dotąd kapryśnie, wyprostowała się w szeroką tryumfalną aleję, u której wylotu potężniała Ona. Na tej prostej drodze nieprzerwany szlak pielgrzymów, jak rozesłany dywan.

Z miasta nie mogłam dostrzec wiele. Jakiś most przez zbełtaną po wiosennemu Eure, jakieś schodki, zastępujące ulicę domom stłoczonym jedne nad drugimi. Pod samym Chartres zieleń przesłoniła nam Katedrę. Kiedy wyszliśmy nad rzekę, spiętrzyła się na drugim brzegu w całym swoim majestacie. Jej dzwony huczały nad nami.

Po nieprzepartym wezwaniu wież, drugie wrażenie, jakie wywarła na mnie Katedra, to poczucie mocy, wysiłku nóg olbrzyma zapartego w ziemię, aby podźwignąć ku górze eteryczne pozornie ramiona. Nie znałam wtedy jeszcze bliżej jej historii i nie wiedziałam, że te olbrzymie złomy kamienne przydźwigały tutaj rzesze pątników z dalekich kamieniołomów. Szlachetnie urodzeni rycerze i damy ciągnęli liny pospołu z gawiedzią. Osiem setek lat trzeba było, żeby Katedra stanęła w obecnej postaci. Sześć razy rozpoczynano robotę od nowa: w VIII-ym wieku pierwotną bazylikę zniszczyli Wizygoci, następną, w sto lat później, Duńczycy, trzecia przetrwała sto lat, czwarta aż do końca XII wieku. Właśnie skończono ją przebudowywać, gdy ogień strawił wszystko. Francja chrześcijańska okryła się żałobą. Tłumy się zbiegły, aby przyczynić się do odbudowy świątyni własnymi rękami. Jak mówi współczesny poeta:

„Chacun sa borse desnoet
Chacun donoit ce qu'il poet..." —

ofiarność bogatych i biednych nie miała granic. Nawet politycznie skłóceni w owych czasach, gdy małoletniość przyszłego Ludwika Świętego groziła monarchii rozpadem, połączyli się we wspólnym dziele: infantka Blanka Kastylska ufundowała jeden portyk, jej najbardziej zażarty przeciwnik, możny Pierre de Dreux drugi. Po dwudziestu latach sklepienie było gotowe. W 1260 roku, w obecności Ludwika św. dokonano poświęcenia.

O tym wszystkim nie wiedziałam wtedy, ale odczułam wyraźnie konieczność, jaka istniała od wieków, żeby na tym przyczółku sterczącym nad żyzną niziną stanęła świątynia, symbol zjednoczenia religijnego i narodowego Francji. Są miejsca wybrane od początków świata, góry Synaj czy wzgórza Oliwne. U krańców doliny Beauce takim przeznaczonym miejscem kultu jest właśnie to, z którego wyrasta Katedra. Czułam to, a nie wiedziałam wtedy jeszcze wcale, że więcej, że w czasach, które w Polsce zwą się bajecznymi, tam gdzie obecnie w krypcie króluje ciemnolica statua Bożej Matki, biło kiedyś źródło, a przy nim czczono celtycką Dodonę, macierzyńskie bóstwo, jakby przeczucie i prefigurację Tej, której Syn miał zstąpić na nasze zbawienie. Wiara, która przyszła od Wschodu, nie musiała tutaj obalać okrutnych bożków, łaknących krwi, ale napotkała na coś, czego była nadzieją i dopełnieniem.

Nie po to wędrowaliśmy do Chartres, aby przyglądać się Katedrze na zimno, aby zadzierać głowy, wyceniając linie stropu, rozmieszczenie różyc, rytm kolumnady. Nie było to dla nas muzeum, zamiast Baedeckerów nieśliśmy w plecakach mszaliki, Katedra żyła. Ledwo przekroczyliśmy Jej próg, ogarnął nas przedziwny mrok, sprzyjający skupieniu i jakby utkany z modlitwy stuleci. Zaraz zaczęła się uroczysta suma. Jak analizować uniesienie, które nas ogarnęło? W jakim stopniu przyczyniły się kolorowe światła witraży i lekkość sklepień do intensywnego wibrowania wewnętrznego, które było więcej niż zwykłą modlitwą? A w jakim wywołały je wspólna Komunia św., wspólny śpiew, wspólna niedawna wędrówka, współobecność tłumów?

O architekturze wnętrza Katedry wiedziałam więc tylko tyle za tym pierwszym razem, że pełna jest łaski, tak jak to obiecywały z daleka jej fascynujące wieże.

Po nieszporach zeszliśmy procesją do podziemnej krypty, która dźwigała po kolei wszystkie wzniesione tu bazyliki. U wylotu labiryntu o ścianach osmalonych kolejnymi pożarami ujrzeliśmy Panią tych miejsc, Matkę z Dzieciątkiem. Tutaj tryskało źródło, tutaj była grota, tutaj od zarania czasów, zanim jeszcze spełniła się obietnica Odkupienia, czekano na Nią, na „Virgo paritura" na Pannę, która porodzi Syna.

Statuetka ma ciemne lica, jest siostrą naszej Matki Boskiej Jasnogórskiej i także można o niej za Pieśnią nad Pieśniami powiedzieć: „*Jestem czarna, ale jestem piękna*". Przesuwaliśmy się w Jej stronę powolnym pochodem. Wszyscy śpiewali:

Chez nous soyez Reine,
Nous sommes à Vous,
Fondez Votre domaine
Chez nous, chez nous....

Śpiew był gromki, tryumfalny i dziwnie kontrastował z atmosferą podziemia i katakumb w tej romańskiej krypcie. Wtedy po raz pierwszy i jedyny odczułam potrzebę chwilowego odizolowania się od moich towarzyszy (tak mi przecież bliskich) i zamiast francuskiej pieśni powtórzyłam w sercu, przyklękając przed Matką Boską, nasze:

Pod Twoją obronę...

* * *

Po południu na stopniach Katedry zespół teatru średniowiecznego Sorbony, znani „Théophiliens" odegrali dla nas misterium o Tobiaszu. Dzień uciekał szybko. Za mało go było, żeby nacieszyć się Katedrą, oswoić trochę z rzeźbionym narodem jej zewnętrznych ścian. Z tłumu enigmatycznych (nawet dla Michel'a) postaci, wyłaniali nam się znajomi: czterej Ewangeliści z nieodłącznymi: aniołem, lwem, wołem i orłem, wzruszające sceny żłóbka czy święty Grzegorz z gołębicą, symbolem Ducha św. dyktującą mu jakieś ważne reformy. Była to otwarta księga Starego i Nowego Testamentu. Ledwo zdążyliśmy na własną już rękę przebiec miasto. Było malownicze, o uliczkach spadających stromo. Jakaś rzeźbiona brama przyciągnęła nas. Znaleźliśmy się na maleńkim podwórku żywcem przeniesieni w średniowiecze. Pod drewnianym daszkiem gruchały gołębie.

Lecz zewsząd było widać Katedrę. Nie było przed nią ucieczki w tym mieście. Jej wieże ukazywały nam się to z profilu, jedna schowana za drugą, to stawały obok siebie, jakby pytając: która z nas piękniejsza? Ta skromna, prosta, idealna, czy ta leciutka, misterna jak kwiat? Obie piękne. Cała katedra tchnęła doskonałością.

„Oto oś, oto linia i kwiat
gigantyczny.
Oto zbocze surowe, oto dopełnienie.
Oto wierność niezłomna, oto
przyzwolenie.
I oto łza surowa, Królowo Boleści.
Oto nagość — a wszystko inne
jest odzieniem.
Oto odzienie — wszystko inne
jest przybraniem.
Oto czystość — a wszystko inne
jest zbrukaniem.
Oto ubóstwo — wszystko inne
to ornament.
Oto siła — poza nią wszystko jest
słabością.
Oto krawędź niemylna — a reszta
jest skazą.
Oto szlachetność cała — a reszta
jest zmazą.
Oto wielkość jedyna — reszta jest
podłością.

Lepiej od nas zachwyt nasz wyraził Péguy.

* * *

Raz jeszcze zobaczyłam Katedrę z okien pociągu. Za parę godzin był Paryż, stacja metro pełna wyziewów upalnego dnia, mały pokoik na siódmym piętrze i stosy książek do przejrzenia.

Ale następnego roku znowu poszłam do Chartres. I patrząc na tegoroczny afisz czuję, jak bardzo pragnęłabym pójść tam znowu.

Zofia Romanowiczowa
(Paryż)

NASTĘPNY NUMER „ŻYCIA"

Będzie poświęcony Katolickim Nagrodom Literackim.

W jego treści znajdą się przemówienia i zdjęcia z uroczystości wręczenia nagród, sylwetki laureatów, ich listy i utwory.

Ponadto znajdzie się w nim omówienie „Przymierza" Zofii Kossak.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA

KSIĄŻKA POLSKIEGO EKONOMISTY. Uczony polski dr Ferdynand Zweig z Krakowa, autor wydanej w czasie wojny książki „Poland Between Two Wars", zajmuje się od kilku lat badaniem zagadnień społeczno-gospodarczych w Wielkiej Brytanii, posługując się w tym celu najbardziej nowoczesnymi metodami badawczymi (w szczególności ankietami wśród ludności). Jego poprzednia książka „Labour, Life and Poverty" znalazła duże uznanie w fachowych kołach angielskich. Podobnie przyjęte zostało nowe jego opracowanie „Women's Life and Labour" (Gollancz, cena 13/6), poświęcone zagadnieniu położenia społeczno-gospodarczego i pracy kobiet brytyjskich. Swe interesujące konkluzje autor opiera na przeprowadzonej przez siebie ankiecie, która objęła 445 kobiet.

HISTORIA „TIMESA". Ukazał się tom czwarty i ostatni (a raczej dwa tomy, noszące razem nazwę „tomu czwartego") historii dziennika „Times" („The History of The Times"), wydany jego własnym nakładem. Tom ten obejmuje okres od r. 1912, poprzez 150-lecie „Timesa" w r. 1935, po rok 1948. Jest to więc okres najnowszy i dlatego wywołujący szczególne zainteresowanie z politycznego punktu widzenia.

W ciągu pierwszego dziesięciolecia właścicielem pisma był ówczesny największy prasowy magnat angielski, lord Northcliffe. On to w r. 1912 zainstalował nowego naczelnego redaktora „Timesa", którym został Geoffrey Dawson (wówczas Geoffrey Robinson). Lord Northcliffe zdołał podnieść pismo z upadku, w jakim się znajdowało, a nawet zrobić z niego dobrze opłacające się przedsiębiorstwo. W ciągu pierwszej wojny światowej popadł jednak w ostry konflikt z naczelnym redaktorem i w lutym 1919 r. zmusił go do ustąpienia, mianując na jego miejsce Wickhama Steeda. Pod sam koniec życia lord Northcliffe popadł w obłąkanie i zmarł w r. 1922.

Po jego zgonie większość udziałów pisma nabył pułk. J. J. Astor, współwłaścicielem zaś został p. John Walter z „dynastii" Walterów, którzy pismo założyli i prowadzili przez długie dziesiątki lat. Równocześnie Geoffrey Dawson odzyskał stanowisko redaktora naczelnego, które sprawował aż do r. 1941. Był to człowiek o zainteresowaniach imperialnych raczej, niż europejskich i stąd nie widział zupełnie rosnącego niebezpieczeństwa niemieckiego. Tym autorzy historii i artykułu recenzyjnego o książce, jaki ukazał się w „Times Literary Supplement", tłumaczą politykę „appeasementu" wobec Niemiec, jaką „Times" uprawiał w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Nie ma w książce tendencji do zasadniczej obrony tej polityki, jest raczej stanowisko krytyczne. Tej postawy nie znajdujemy natomiast w stosunku do polityki, jaką „Times" uprawiał (i w części uprawia dotąd) wobec Rosji, zwłaszcza w okresie redaktorstwa następcy Dawsona, Barringtona Warda (1941 — 1948).

Ostatnich kilka lat, od śmierci Barringtona-Warda, pokrytych jest milczeniem, zgodnie z zasadą, która zastosowana została także przy niedawnym jubileuszu „Times Literary Supplement".

W końcu książki dyskutowane jest zagadnienie zasadnicze: czy funkcją „Timesa" jest odzwierciedlać inteligentną opinię publiczną, czy też ją napominać i usiłować narzucić jej swoje kierownictwo. Na pytanie to nie pada jednak żadna wyraźna odpowiedź.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ZIELONE ŚWIĄTKI, 1 czerwca 1952.

DZWONY ŚW. SZCZEPANA

Uszkodzony w czasie drugiej wojny światowej sławny tum św. Szczepana w Wiedniu został po odrestaurowaniu otwarty na nowo. Dzwon Pummerin, zwany „Królową Austrii", który odlany był z brązu dział tureckich z czasów oblężenia Wiednia, uszkodzony w czasie wojny, został na nowo odlany; waży ponad 200 kwintali. Płaskorzeźby na nim przedstawiają Niepokalaną Dziewicę, sceny z oblężenia w roku 1683 i z pożaru w roku 1945. Dzwon ten odezwał się znowu w dniu otwarcia tumu św. Szczepana głosem wiary i nadziei dla katolickiej Austrii.

Z głosem jego w dniu 27 kwietnia zespoliły się przypływające na falach radiowych dźwięki dzwonów bazyliki św. Piotra na Watykanie, zapowiadające przemówienie okolicznościowe Ojca świętego. Papież w swoim przemówieniu mówił także o ocaleniu Wiednia przed Turkami w roku 1683, przypominając ten wiekopomny dzień jako pokrzepienie dla Austrii w obecnych czasach zagrożenia świata przez komunizm bolszewicki: „Wiedeń w swojej przeszłości przeżywał ciężkie dni i oglądał nadchodzące doń śmiertelne niebezpieczeństwo. Jego najstraszliwsze położenie, kiedy się wydawało, że miasto jest bliskie upadku, przypadło na rok 1683. Ów rok był jednak także rokiem największego zwycięstwa, jakie Wiedeń kiedykolwiek oglądał. Było to nie tylko zwycięstwo broni, było to jeszcze bardziej zwycięstwo idei chrześcijańskiej, podstawa i wyjście pokojowych zdobyczy dla chrześcijańskiej cywilizacji i porządku bytowania. Uszczęśliwia Nas — mówił Papież — że istotny udział w uwolnieniu Wiednia w roku 1683 brał nasz Poprzednik Innocenty XI. Niech dla was wypadki te będą pociechą i napełnią ufnością w obecnej godzinie. Ojcowska troska i modlitwa Namiestnika Chrystusowego towarzyszą wam dzisiaj tak samo jak i wówczas".

CZŁOWIEK — WSZĘDZIE TEN SAM

(KRONIKA FILMOWA)

Ostatnie tygodnie obfitowały w piękne filmy. Dotarł do Londynu japoński obraz nagrodzony na festiwalu weneckim „Rashomon", obejrzeliśmy dwa filmy Elii Kazana z Marlonem Brando „Viva Zapata!" i „A Streetcar Named Desire". To była Japonia, Ameryka i Meksyk. Potem czary filmowe przeniosły nas do średniowiecznej Anglii („Murder in the Cathedral", „Robin Hood"), na skalistą wysepkę bretońską, do Asyżu, a wreszcie do Indii, nad świętą rzekę Ganges. Dziś, wracając z tej pięknej podróży, wspominamy ze wzruszeniem ludzi, których poznaliśmy na ekranie — wodza meksykańskiej rewolucji, Zapatę, kapłana japońskiego sprzed lat tysiąca, młodą Hinduskę znad Gangesu i małego Włocha, który kocha swego osiołka, więc błaga o jego zdrowie świętego Franciszka, takiego, jak sam, biedaczynę. Widać, można znaleźć bliskich sobie ludzi pod każdą szerokością geograficzną i w każdej epoce.

Z filmów, które ostatnio widziałem, najwyżej stawiam japoński film „R a s h o m o n" wyreżyserowany przez Akimę Kurosawa. Obraz jest potężny, wstrząsający, a równocześnie głęboko poetycki. Wszyscy krytycy zgodnie twierdzą, że film ten wnosi coś zupełnie nowego, coś innego, niespotykanego w sztuce filmowej Europy. Myślę, że ta nowość, ta niezwykłość filmu tkwi nie tyle w scenariuszu, nie tyle w japońskich realiach filmu (tło kostium, muzyka), ile w samym przedstawieniu człowieka. Nieokiełznana dzikość bandyty, strach i rozpacz kobiety, przerażenie, gniew, zwątpienie — przygnębienie i niewiara świadków zbrodni podane są tak wyraziście, z ekspresją tak przekraczającą środki wyrazu europejskiego aktora, że stajemy wobec ich sztuki zdziwieni i zaskoczeni. O takim typie aktorstwa zwykła mówić kiedyś Stanisława Wysocka — „to człowiek nagi".

Akcja filmu rozgrywa się przeszło tysiąc lat temu w Japonii dotkniętej głodem i powodzią, zarazą i trzęsieniem ziemi, a mogłaby się dziać wczoraj lub dzisiaj — wszędzie. Młoda para japońska, ludzie piękni i bogaci, jedzie przez las. W parę godzin potem drwal znajduje zwłoki mężczyzny, a zgwałcona kobieta nieprzytomna z rozpaczy kryje się w pobliskim klasztorze. Bandytę ujęto. I oto przed oczyma naszymi rozwijają się cztery różne wersje tego, co się stało — opowiadane kolejno przez bandytę, przez żonę ofiary, przez ducha zabitego, który przemawia ustami medium i przez drwala, jak się w końcu okazuje, naocznego świadka zbrodni. Która wersja jest prawdziwa? Kto kłamie a kto mówi prawdę? Każdy zeznaje to, co dogadza jego dumie, jego miłości własnej. Tak czyni bandyta i przemawiający przez usta medium mąż; kobieta chce zmniejszyć swoją winę wobec męża, a drwal usiłuje obronić się przed jakimkolwiek możliwym posądzeniem. Młody kapłan buddyjski, który zawsze kochał ludzi i wierzył w nich, z rozpaczą widzi, jak grzeszny jest człowiek. Każdy człowiek, bo i on sam, grzeszy posądzaniem bliźniego. Lecz oto nagle odkrywa, że zabiedzony, zastrachany nędznik, drwal, zdolny jest do czegoś, co jest piękne i wzniosłe i co wraca mu wiarę w człowieka. Przez chmury deszczowe, które zasnuły horyzont od wielu dni, przeciska się nieśmiało promień słońca.

Trudno jest oddać zwykłymi słowami przedziwną piękność tego filmu. Trzeba by napisać długą serię superlatywów na temat reżysera, aktorów, wspaniałej ilustracji muzycznej, fotografii, która chwyta i utrzymuje nastrój znakomicie, choć tło jest bardzo skromne, momentami wprost ascetyczne (biały ekran, grupa drzew, stara świątynia). Technika tego filmu jest bardzo wysoka, nie gorsza absolutnie od techniki najlepszych filmów amerykańskich i europejskich. W tę nowoczesną technikę filmu wtopiono sceny aktorskie grane na sposób nieznany Europejczykom i Amerykanom, sceny, w których mamy wyraźne echo starej japońskiej „kabuki", dramatu blisko spokrewnionego z ekspresyjnym tańcem mimowanym. W scenach walki bandyty z mężem kobiety, w których krytycy zauważyli tylko daleko posunięty realizm jest coś znacznie więcej. W pewnych momentach aktorzy zastygają w wyrazistych pozach, by następnie bardzo wolno przejść do dzikiej, zwierzęcej walki. Gdy patrzyłem na Toshiro Mifume, miałem wrażenie, że artysta przedstawia sobą ożywioną postać złego demona ze świątyni, tak jak to robią tancerze japońscy — za chwilę widziałem już tylko żywego człowieka, brudnego bandytę, który zabija owady, obsiadujące jego ciało. Niezapomniana jest scena, w której zabity mąż przemawia przez usta zwijającej się w jakimś zwierzęcym skurczu kobiety-medium. Każdy ruch, każdy fragment gry nędznego drwala pozostaje na zawsze w pamięci: człowiek — tylko człowiek — po prostu człowiek. Gdy wychodziłem z kina, przypomniały mi się słowa Arystotelesa o świętej katharsis — słowa o „oczyszczeniu przez litość i grozę..."

Emiliano Zapata, meksykański wieśniak-analfabeta, w dziesiątych latach naszego stulecia został wielkim rewolucjonistą. Walczył o przywrócenie ziemi indiańskiemu szczepowi Morelos, z którego sam pochodził, później został generałem, a w okresie przymierza ze sławnym Pancho Villa (wielu czytelników pamięta film „Viva Villa!" z Wallace'm Beery) — nawet, na krótko co prawda, prezydentem Meksyku. Romantyka tej postaci, przez Indian oplecionej już legendą, posłużyła znakomitemu pisarzowi amerykańskiemu, Johnowi Steinbeck, do stworzenia powieści i scenariusza, którego sfilmowaniem zajęli się Darryl F. Zanuck — producent i Elia Kazan — reżyser, z Marlonem Brando w roli głównej. Sławne nazwiska na afiszach nie gwarantują dobrego obrazu, lecz „V i v a Z a p a t a!" to dzieło, które wzbogaci najlepsze tradycje amerykańskiego filmu.

Marlon Brando stworzył gigantyczną kreację aktorską. Jego Emiliano Zapata to już nie rola, lecz żywy, kompletny człowiek. Jego przeżycia, uczucia i odruchy, granice jego intelektu, sygnały jego sumienia i zewnętrzny wygląd — wszystko to ukształtowało się w jedność, w której nie ma ani śladu Marlona Brando; jest tylko Emiliano Zapata. Na aktorstwie Brando zaważyła być może, jego teatralna przeszłość. Do Hollywood zjechał zapewne jako dojrzały już artysta. Jego nerwowe przechadzanie się, gdy jeszcze nie ochłonął po bójce w stajni, kiedy ciągle jeszcze gotuje się w nim na myśl że pachołek chciał prać biczem chłopaczka; jego przechwałki wobec ukochanej, przed którą określa siebie samego jako najlepszego znawcę koni w całym Meksyku; delikatna, wcale nie pyszna, lecz głęboka duma, z jaką on — oswobodziciel — przyjmuje wdzięczność ludu, uwielbienie dzieci i młodzieży i matczyne pieszczoty starowinek: to momenty, dla których film ten można oglądać chyba nieskończoną ilość razy. Przy tej potężnej kreacji, zbudowanej po prostu aktorską grą, prawie że ascetyczną, wszyscy pozostali aktorzy bledną, choć każdy z nich jest co najmniej bardzo dobry.

„Viva Zapata!" należy do najlepiej sfotografowanych filmów, jakie widziałem. Wszyscy angielscy krytycy zwrócili uwagę na sekwencję, w której żołnierze prowadzą schwytanego Zapatę do więzienia a Indianie Morelos zwołują się stukając kamieniem o kamień. Scena śmierci Zapaty pozostaje wspomnieniem na całe życie. Silne kontrasty między światłem i cieniem doskonale uwydatniają atmosferę gorącego, leniwego Meksyku. Dlatego też wybacza się nieliczne złe sekwencje jak, na przykład, banalnie sfilmowaną śmierć prezydenta, zamordowanego przez dowódcę meksykańskiej armii w melodramatycznych okolicznościach i to, że ostatnie zdjęcie filmu, przedstawiające białego konia Zapaty na tle namalowanych gór, jest po prostu beznadziejne.

Jedyny nierealistyczny komentarz rzeczy dziejących się na ekranie, to muzyka, nie oryginalna, meksykańska, ale bardzo dobrze stylizowana.

Oprócz morza, całego potopu szmiry Hollywood wyprodukował również znakomite filmy, które zdają się świadczyć o istnieniu własnego amerykańskiego stylu filmowego. Styl ten objawił się w zeszłym roku w „Ace in the Hole", „Fourteen Hours" i „Detective Story", a w obecnym, jak dotąd, w „Viva Zapata!", „A Streetcar Named Desire" i „Death of a Salesman".

„A S t r e e t c a r N a m e d D e s i r e" to również znakomity film, chociaż ucierpiał nieco, jako przeróbka sztuki. Sztuka o tej samej nazwie, Tennessee Williamsa, wyróżniona nagrodą Pulitzera, która jest jakby amerykańskim odpowiednikiem nagrody Nobla, długo nie schodziła ze scen: nowojorskiej (z Marlonem Brando w roli Kowalskiego) i londyńskiej (z Vivian Leigh jako Blanche DuBois i Bonarem Colleano). Filmową wersję wyreżyserowali Elia Kazan z Vivien Leigh, która za tę rolę dostała Oscara 1951 z Marlonem Brando i Kim Hunter, która tą kreacją też zarobiła Oscara za najlepszą rolę towarzyszącą.

Film różni się od sztuki w dwóch aspektach — nimfomania Blanche DuBois w wersji kinowej została stonowana, a prymitywność Kowalskiego uwydatniono jeszcze bardziej. Ponadto z zakończenia filmu nie wynika jasno, czy i tym razem Stella wróci do Kowalskiego, co jest wyraźnie powiedziane w sztuce. Trzeba jednak stwierdzić — reżyser i scenarzysta (sam Tennessee Williams) tak całkowicie przetopili teatr w film, że obraz jest dziełem sztuki filmowej, nie tracąc nic z atrybutów teatru. Choć trudno znaleźć wady języka filmowego w tym obrazie, to jednak jest on typowym, stuprocentowym „talkie", jak to świetnie nazywają Amerykanie, a nie „movie". Skutkiem tego percypować go mogą całkowicie jedynie ci, którzy znają doskonale język angielski, tym bardziej, że kwestie Kowalskiego utrzymane są w rozciągniętym, południowym slangu amerykańskim, obfitującym w nieznane Anglikom wyrażenia.

Jednolitość atmosfery reżyser wydobył przede wszystkim talentem i doświadczeniem aktorów, ale również naturalistycznym ujęciem elementów pozaaktorskich, składających się na tło filmu. Widzimy więc ohydne, seryjnie fabrykowane meble, kandelabr, którego powstydziłby się najbrudniejszy rumuński dworzec kolejowy, podwórze, które niemal że śmierdzi od śmieci. Tym niemniej film wcale nie jest naturalistyczny. Wszystkie jego szczegóły, nawet drobne, urastają w chwili właściwej do wyraźnych i jasnych symboli.

O rolach aktorskich trudno coś mówić jako o osobnym elemencie filmu, tak są konsekwentnie, integralnie wtopione w obraz. Mamy tu grę nie solową, lecz koncert. Marlon Brando stworzył postać tak różną od Emiliana Zapaty, że trudno mi go było poznać w pierwszych sekwencjach filmu — aktorów o takich zdolnościach przeżywania roli i przeistaczania się jest bardzo niewielu. Gra Vivian Leigh, subtelna, cała w półtonach, prawie niedomówieniach, znakomicie kontrastuje z gruboskórnym, wszaskiwym nosorożcem, Kowalskim. Można śmiało powiedzieć, że w każdej klatce filmu, w każdym centymetrze taśmy dźwiękowej jest to i tylko to, co zamierzał Elia Kazan.

Trudno byłoby namawiać każdego, by zobaczył ten film. Wielu przygnębił on i rozdygotał, ale nie miejmy żadnej wątpliwości: „A Streetcar Named Desire" Tennessee Williamsa, pisarza, który podobnie jak Czechowacz dużo silniej — ukazuje nam degenerację pewnej grupy społecznej, jest ważnym wydarzeniem kulturalnym XX wieku.

W bogatym dorobku filmowym ostatnich paru tygodni ważne miejsce zajmują trzy filmy o tematyce religijnej, przy czym jeden z nich to dzieło w swoim rodzaju jedyne: „M u r d e r i n t h e C a t h e d r a l", filmowa wersja poetyckiej sztuki T. S. Eliota. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że poezje Eliota niełatwo zrozumieć przy czym „Morderstwo w katedrze" wcale nie jest wyjątkiem. Należało się raczej spodziewać, że jeśli Eliot zgodził się na sfilmowanie którejś ze swych sztuk, będzie to raczej „The Cocktail Party", w której treści przynajmniej na pozór jest „cocktail party". Poeta Eliot wraz z reżyserem George'm Hoelleringiem i aktorską obsadą pół amatorską i pół zawodową dokonał ogromnie interesującego eksperymentu, który właściwie nie udał się. Przede wszystkim, by zrozumieć poezję Eliota, trzeba dużego wysiłku intelektualnego w ciszy biblioteki, z encyklopediami i słownikami wielu języków na podorędziu. A przy tym „Murder in the Cathedral" jest raczej poetyckim traktatem teologicznym, rozłożonym na głosy, niż sztuką teatralną. W rozgryzaniu finezji poetyckich i dialektycznych tego niezwykłego utworu obrazy filmu wcale nie pomagają, a — przeciwnie — przeszkadzają.

Doskonała dykcja aktorów ułatwia jednak rozumienie kwestyj i rozkoszowanie się bogactwem wersyfikacji wiersza Eliota. Najlepszym aktorem okazał się ksiądz John Groser, o pełnej wyrazu twarzy, poruszający się ze wspaniałym majestatem średniowiecznego arcybiskupa, mówiący wiersz świetnie: naturalnie, ale nie gubiąc ani jednej stopy.

Fotografię naprawdę warto zobaczyć. Jest, co prawda, statyczna, ale wykonana niemal wyłącznie wewnątrz uroczego kościółka na St. John's Wood w Londynie, specjalnie w tym celu ozdobionego bardzo dobrymi rzeźbami, wykonana przez prawdziwego artystę, co chwila zdumiewa prostym pięknem.

Do Londynu dotarł też francuski film „Dieu a besoin des hommes" (tytuł angielski — „The Isle of Sinners") reżyserii Jean Dellanoy, nagrodzony przez jury Międzynarodowego Katolickiego Biura Filmowego. Film ten wzbudził tyle kontrowersji na festiwalu weneckim, że przed wypuszczeniem go na ekrany wytwórnia zaopatrzyła go w prolog, wyjaśniający, że widz ma do czynienia z obrazem historycznym i nie czyniącym aluzji do obecnego stanu spraw kościelnych.

Akcja filmu rozgrywa się przed stu laty na skalistej wysepce u brzegów Bretanii. Mieszkańcy tej wysepki bardzo ciężko pracują i grzeszą. Grzeszą jak wszyscy ludzie na świecie, ale w prymitywnych warunkach ich życia wszystkie ich czyny, a więc i grzechy, nabierają jaskrawych barw. To jest jedną z przyczyn, dla których opuszcza ich ksiądz. Tak bardzo jednak ci grzesznicy potrzebują życia sakramentalnego, że, w braku księdza, zmuszają zakrystiana do otworzenia na nowo kościoła, przewodniczenia w modłach, kazań, a potem nawet do wysłuchiwania spowiedzi. Kościelny pilnie jednak baczy, by nie popełnić świętokradztwa i by „jego" trzódka nie odeszła od Kościoła.

Rolę kościelnego gra Pierre Fresnay, niezapomniany św. Wincenty a Paulo z „Monsieur Vincent". Nigdy nie przestaje on być prostym rybakiem, przy wielkiej indywidualności i mocnym, prawym charakterze, w każdej sytuacji posługującym się sumieniem i zdrowym rozsądkiem. Tylko tak wyrazisty aktor jak Fresnay mógł równie przejmująco oddać piękne sekwencje, w których mocuje się to ze sobą, to z innymi, a wreszcie, pełen chrześcijańskiej pokory ustępuje miejsca w plebanii nowemu proboszczowi, pysznemu, niewyrozumiałemu, ale księdzu. A obok niego każda postać mocno wyryła się w mojej pamięci, każdy aktor to żywy człowiek.

Akcję filmu „N e v e r T a k e N o f o r a n A n s w e r" można dokładnie streścić w paru słowach: mały Włoch ma osiołka, który równocześnie jest żywicielem, przyjacielem i całą rodziną chłopca. Ośliczka, o romantycznym imieniu Violetta, nagle zapada na zdrowiu. Chłopiec wiedząc o miłości św. Franciszka do zwierząt domaga się stanowczo, by oo. franciszkanie dopuścili Violettę do krypty Świętego. Przeor odmawia, więc chłopiec osobiście udaje się do papieża, do którego dociera po wzruszających tarapatach. Papież wydaje specjalne rozporządzenie, by w ścianie krypty wybito od dawna zamurowane wejście, ponieważ „ortodoksyjna" droga jest dla Violetty za wąska. Wiara chłopca jest niezachwiana i tak potężna, że — nie mamy najmniejszej wątpliwości — św. Franciszek nie da się długo prosić i uzdrowi „siostrę oślicę".

Para aktorska — chłopiec i Violetta — jest rozkoszna. Fotografia na ogół niezła, tu i ówdzie utkana licznymi fragmentami starych miast włoskich. Ten prosty a głęboki film, pogodny i słodki, ale nie sentymentalny, jest bardzo krzepiący. Każda jego minuta jest kroplą miodu, spływającą w serce człowieka. Polecam dla dzieci od lat 6 do 106. Wyreżyserowali Francuz Maurice Cloche i Brytyjczyk Ralph Smart. Rolę chłopca gra niezwykle utalentowany Vittorio Manunta.

Akcja filmu Jean Renoira „T h e R i v e r" rozwija się nad brzegami Gangesu, na tle Indii, słonecznych, tajemniczych, zamyślonych nad odwieczną zagadką życia i śmierci człowieka. Nad Gangesem stoi bungalow wzorowej europejskiej rodziny, a bohaterka filmu, dziewczynka najstarsza z sześciorga rodzeństwa, opowiada nam radości i smutki swych lat dojrzewania, dzieje swojej pierwszej miłości i proste, codzienne życie domowe, przerwane raz przez śmierć małego braciszka, a potem przez narodziny siostrzyczki. Poznajemy jej rówieśnicę i przyjaciółki, czerwonowłosą fantastkę, Valerię, i pół-Hinduskę, Melanię, dziwną, zadumaną dziewczynę, która nie wie, do jakiej rasy należy naprawdę, a czuje, że obydwu rasom jest obca.

Osią akcji jest pierwsza miłość wszystkich trzech dziewczynek do młodego kaleki wojennego, kapitana Johna (niestety postać tę bardzo słabo i banalnie zarysował Thomas E. Breen), smutna i burzliwa miłość pierwszej młodości. Kapitan odjeżdża, miłość mija powoli, w domu nad Gangesem z nową wiosną rodzi się nowe życie. Święta rzeka płynie dalej, jak płynęła od wieków wśród ludzi, którzy nad jej brzegiem rodzą się, żyją i umierają.

Film Jean Renoira jest bardzo subtelny, delikatny, przemyślany i dojrzały. Trudno się oprzeć urokowi przedziwnych kolorystycznie i świetnie sfotografowanych scen życia tubylców nad Gangesem, powiązanych z piękną, nastrojową muzyką, wykonaną na oryginalnych, indyjskich instrumentach. Dopiero gdy widz otrząśnie się z czarów świetnego reżysera, pomyśli, że Indie ukazane na filmie — to Indie widziane z okna willi bogatych cudzoziemców. Indie takie jak chcieliby je mieć Europejczycy, malownicze i piękne, o których nędzy i niepokojach zapomina się tak chętnie.

Historia dojrzewania dziewcząt (jednej czy trzech, obojętnie) była już tak wielokrotnie opisywana przed ostatnią wojną, że dziś temat ten należy do najbanalniejszych. Banalnych sytuacji i chwytów nie zdołał się ustrzec i Renoir (złowrogie krakanie ptaków, zwiastujące nieszczęście, w której trzy dziewczynki spotykają się z tak zwaną pompatycznie „tajemnicą narodzin") ale jest ich nad podziw mało w tym ładnym, przeważnie bardzo dobrze granym filmie. Na plan pierwszy, obok świetnej, ciepłej i prostej matki, kreowanej przez Norę Swinburne, wysuwa się młoda tancerka hinduska, Radha, grająca w filmie rolę Melanie. Postać dojrzewającej dziewczyny, stworzona przez nią, jest tak ciekawa, tak głęboka w swojej spokojnej rezygnacji, w którą zamienia wszystkie smutki i niepokoje, że widz zdaje sobie sprawę, iż stoi wobec jakiegoś nowego, do tej pory nie poruszanego problemu i nowej tajemnicy dziewczęcego serca. Fragment wesela hinduskiego, w którym Radha tańczy prześliczny taniec panny młodej przed nowożeńcem, symbolizującym Krishnę, uważam za jedną z najbardziej poetycznych sekwencji filmowych, jakie kiedykolwiek widziałem.

I na zakończenie naszej podróży po różnych wiekach i kontynentach znów Y e O l d e E n g l a n d w epoce Ryszarda Lwie Serce i Jana bez Ziemi. To film o Robin Hoodzie i jego wesołych towarzyszach. Reżyserem tego filmu jest Walt Disney i stąd zalety filmu — wspaniały technikolor, malarskie potraktowanie tła i kostiumów, świetne sceny zbiorowe i niektóre prześliczne, prawie ze starej bajki zaczerpnięte sekwencje (droga strzały wypuszczonej przez wartownika).

Oczywista ciśnie się na usta najważniejsze pytanie: czy reżyser zdołał zakląć w film starą legendę z całym jej pięknem, humorem, zapachem starej Anglii i lasów Sherwood i głębszym społecznym jej sensem o bohaterze, co „bogatym zabierał dobro, by dać je biedakom". Niestety, raczej nie. Sens społeczny legendy o Robin Hoodzie zupełnie został pominięty w filmie. Robin Hood jest tylko wiernym sługą Ryszarda, pomaga zebrać dla niego okup i w końcu zostaje mianowany lordem. Starą legendę przypominają tylko świetne postacie Friar Tucka i Little Johna, nie potrafię też sobie inaczej wyobrazić po tym filmie Jana bez Ziemi. Natomiast Richard Todd, grający Robin Hooda, to młodziutki, śliczny chłopiec o wielkich oczach i ogromnych rzęsach, zwinny, żywy, kręcący się jak w ukropie... bo ja wiem zresztą, może to wszystko jest na swój sposób niezłe, ale co to ma wspólnego z legendarnym bohaterem angielskiego ludu? Śliczna Joan Riee, grająca dziewczę Mariannę, jest niestety tak złą aktorką, że nie warto na ten temat zabierać głosu. Wielką ozdobą filmu są śliczne piosenki truwera Allan-a-Dale, choć dla sprawiedliwości trzeba powiedzieć że przypominają bardziej przeboje XX wieku niż sirventy i rondy średniowieczne. Disney nie byłby Disneyem, gdyby truwerowi nie dodał kapitalnego psiaka, który jest jednym z najlepszych aktorów tego kolorowego, radosnego — może zbyt bezpretensjonalnego — filmu.

(Sp.)

OKRĄGŁE FRAZESY

Niczego bardziej nie podziwiam od pewności siebie. Przepadam za ludźmi, którzy ręczą słowem honoru, że właśnie oni mają rację. Prawda ludzka jest jak woda czerpana rękami: zbyt długo noszona, zbyt pod światło oglądana, rozpływa się, znika, ulatnia. Toteż w problemach spornych rozstrzyga zawsze pewność siebie, zapał, fanatyzm.

Dziedzina sztuki jest zbiorem wartości nieobowiązujących. Każdy człowiek ma prawo do osobistego gustu. Każdy ma swoją rację.

Wcale mnie tedy nie dziwi, że p. Wacławowi Grubińskiemu podobają się jego własne metafory a nie w smak mu moje, skoro z góry wątpi, „by artykuł p. Bielatowicza mógł kogokolwiek przekonać". P. Grubiński ma stanowczo rację. Własną oczywiście, osobistą, prywatną rację. Jedyne, co jest w tym raczej dziwne, to tylko to, że ją uważa za powszechną.

Mówi p. Grubiński: „Jasna metafora!" Contradictio in adiecto. Metafizyka, to są zjawiska p o z a - fizyczne, metafora, to są wyrażenia spoza normalnego słownika. Mnóstwo metafor język sobie przyswoił, wiele z nich weszło tak dalece w krwiobieg codziennej mowy, że nikt się już nad ich dziwnością nie zastanawia. Kogóż mogą dziwić takie metafory, jak „zasypiać gruszki w popiele", „w kij dmuchać", „za nos wodzić", „mieć dom na głowie", itd.? „Nóż — powiada p. Grubiński — służy do krajania, a język do porozumiewania się." Czyżby? Czy naprawdę p. Grubiński nie sądzi, że język coraz rzadziej służy ludzkości do porozumiewania się, a coraz częściej do zatajania i przeinaczania prawdy? Któż piękniej od p. Grubińskiego opisał pomieszanie języka w sowieckim ustroju?

Ale przecież język służy nie tylko złu. Jako narzędzie uniwersalne (w o wiele większym stopniu, niż nóż) służy także pięknu. Piękno zaś sztuki nie jest naśladowaniem rzeczywistości, lecz jej przekształcaniem, jej artyzowaniem. W tej zaś dziedzinie niepospolitą siłę i znaczenie posiada metafora. Metafora nie polega na kopiowaniu słownika, metafora jest wynikiem pomysłowości, artyzmu, twórczości. Im bardziej oklepana metafora tym mniej ma wspólnego ze sztuką pisarską.

Cóż to zresztą znaczy „jasna metafora"? Dla kogo jasna? Zapewniam p. Grubińskiego, iż otrzymałem sporo listów, wyrażających zdumienie, że nie mógł on zrozumieć tak oczywistych metafor, jak te, za które mnie zganił. („Bielatowicza metafora o korzeniach i konarach moich prac pisarskich wydała mi się tak przejrzysta, że nawet zapomniałem zauważyć, że to metafora" — pisze p. Janusz Kowalewski). „A jeśli masz jaką duszę, na ślepo się założę, że twardą i włochatą, jak kokosowy orzech" — pisze w jednym ze swych uroczych wierszy Beata Obertyńska. Czcigodny Prof. Michał Pawlikowski pośpieszył nawet z książką niemieckiego autora G. T. Fechnera (dra Mizesa) „Die Naturgeschichte der Engel", gdzie znajduje się dowodzenie, że kształt aniołów (a więc duchów) jest okrągły, gdyż okrągłość jest kształtem najdoskonalszym. Cóż, kiedy p. Grubiński zna tylko jedną rzecz okrągłą i to tylko wtedy, kiedy jest naga?

Twierdzę: nie ma przepisów na granice używalności języka jako formy i nie ma granic dla metafory. Metafory Mickiewicza, a zwłaszcza Słowackiego sprawiły, iż zacni profesorowie i krytycy współcześni stukali się po czołach. Dziś te metafory są naszym chlebem macierzystym.

Przykro mi, że nie zacytowałem dłuższych partii z dzieł Wacława Grubińskiego. A uczyniłem to nie dlatego, że p. Grubiński moje metafory przytoczył także w ich doskonałej kusości, ale po prostu dlatego, iż nie zajmowałem się w swym liście poglądami estetycznymi p. Grubińskiego, lecz tylko jego zdolnością metaforyczną. Było mi absolutnie obojętne, co p. Wacław Grubiński sądzi o Rzewuskim, Kraszewskim i Kaczkowskim, zajmowały mnie tylko (w moim liście) p. Grubińskiego metafory, a wśród nich: „uschłe gałęzie żywego drzewa literatury". To była j e g o metafora, a nie czyja inna. Skąd więc płomienny protest przeciw fałszowaniu przytoczeń? Jaki wpływ na sens metafory o „uschłych gałęziach" (które — przypominam — złe były w moim artykule a dobre w szkicu Grubińskiego) może mieć stosunek p. Grubińskiego do pism Kraszewskiego i Kaczkowskiego?

A że cytaty z dzieł p. Grubińskiego są tylko „półsensami" i „ćwierćsensami", to już naprawdę nie moja wina.

Muszę wreszcie wyrazić głębokie zdziwienie, że mi p. Grubiński przypisuje ironizowanie jego wieku. Niech Bóg broni! Z Kraszewskim — powiedziałem wyraźnie — łączy Grubińskiego to, że obaj nie czytują Bobkowskiego. I to ja zaliczyłem Grubińskiego „w to towarzystwo" i tylko na wspomnianej podstawie.

Być może, że po mojej dyskusji z p. Wacławem Grubińskim „okrągła dusza" przestanie być metaforą pozorną, a nawet rzeczywistą i stanie się po prostu okrągłym frazesem. I nie będzie już więcej straszyć miłośników frazesu.

JAN BIELATOWICZ

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

LETNIA WYSTAWA AKADEMII KRÓLEWSKIEJ

Letnia wystawa Akademii Królewskiej w Burlington House (przy Piccadilly) spotkała się z dosyć różnymi ocenami krytyków, nikt jednak się nią nie entuzjazmuje. Pewnej pikanterii wystawie dodają obrazy dwóch członków obecnego gabinetu brytyjskiego, a więc samego Churchilla oraz lorda Alexandra, dzisiaj ministra obrony, który również para się malarstwem.

Z tych i innych oznak — pisze krytyk artystyczny „Sunday Times", John Russell, — „możemy wnioskować, że Akademia jest ciągle rajem dla zdolnych amatorów; czy równocześnie jest ona edenem kompetentnych artystów, tego jestem mniej pewny".

Zdaniem Russella najlepszym płótnem wśród znajdujących się na wystawie jest obraz André Deraina („Pool of London"), malowany blisko pół wieku temu i umieszczony na wystawie w charakterze jednego z „dodatków" do nowych obrazów. Russell wyraźnie jest zdania, że owe „dodatki", to jest bez wyjątku starsze obrazy, przedstawiają większą wartość od rzeczy nowych.

Przychylniejszy nieco sąd o wystawie wypowiada w „Observerze" Neville Wallis. Zdaniem jego wystawa zawiera więcej rzeczy, które robią wrażenie, a mniej rzeczy, które przygnębiają, niż którakolwiek z poprzednich wystaw Akademii, o ile można sobie przypomnieć. Jest to oczywiście kamplement bardzo względny, tym więcej, że przy ogromaniu najlepszych nawet stosunkowo płócien Wallis nie szczędzi ostrych uwag krytycznych.

Wystawa otwarta jest codziennie od 9.30 do 7 wieczorem oraz w niedzielę, od 2 do 6 po południu. Wstęp 2/-. Równocześnie w innej części tego samego budynku (tzw. Diploma Gallery) otwarta jest nadal wspaniała wystawa rysunków i innych dzieł Leonarda da Vinci.

GOŚĆ Z JASKIŃ W LASCAUX

W Londynie bawił w tych dniach celem wygłoszenia kilku odczytów niezwykły gość. Był nim 77-letni Abbé Breuil, który w tym roku obchodził półwiecze swej działalności w zakresie badania przedhistorycznych malowideł jaskiniowych. Począwszy od roku 1902, kiedy zrobił pierwsze swe wielkie odkrycie w Combarelles, ksiądz Breuil zbadał ogromną ilość jaskiń w różnych krajach od Hiszpanii aż po Chiny.

W Londynie opowiadał, jak to w roku 1940 w pięć dni po odkryciu słynnych malowideł w Lascaux, a niemal bezpośrednio po załamaniu się Francji pod naporem niemieckim, zwiedził i zbadał te malowidła. Na osobiste zaproszenie generała Smutsa ksiądz Breuil udał się następnie w r. 1942 do Południowej Afryki i tam również przeprowadził sumienne i wielostronne badania, które zajęły mu sześć lat.

Obecnie ksiądz Breuil pracuje nad wielkim dziełem o malarstwie jaskiniowym w Rodezji. Mimo swego podeszłego wieku trzyma się krzepko i nie utracił nic ze swej energii i sumienności uczonego. Przedmiot zresztą, któremu się poświęcił, jest niewątpliwie bardzo pasjonujący. Już Chesterton w swej znanej książce „The Everlasting Man" pisał o malarstwie jaskiniowym jako o dowodzie, że człowiek pierwotny nie był wcale takim dzikusem, zbliżonym całą swą istotą do świata zwierzęcego, jak to antropologia i zwolennicy teorii ewolucji starali się i dotąd jeszcze się starają, przedstawić. Odkryte już po zgonie Chestertona wspaniałe malowidła jaskiniowe w Lascaux potwierdzają jego tezę.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w t e k ś c i e 50 proc. drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15 rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphorst 2. i St. Mikściuk (13 B) München 54, Seebamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10. East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734